

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Marek Nowakowski**

**KTO TO ZROBIŁ?**

Tower Press 2000

*Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000*

– Kto to zrobił?

Cisza. Pochylone głowy. Znów to samo pytanie. Było to w pokoju kierownika kina. Marks, Lenin, Stalin i Bierut spoglądali z portretów na czerwonej wstędze. Wzywani po pięciu. Naczelnik powiatowego urzędu świdrował ich złymi oczyma. Nie mógł wykryć sprawcy. Podczas seansu, kiedy pokazywano nudny, pełen dętych słów i podniosłych scen film o wsi kołchozowej, ktoś trzepnął ogryzkiem w ekran. Huczny śmiech na widowni. Ogryzek rozładował nudę. Przerwano seans. Na widowni znajdował się naczelnik urzędu.

– Robota wroga! – powiedział wystraszonemu garbusowi, kierownikowi kina.

Garbus próbował bagatelizować. Wśród widzów był również jego syn.

– Wroga chcecie osłaniać? – naczelnik urzędu ukłął go swoim wściekłym spojrzeniem.

Garbus zmobilizował resztki odwagi. Pokazał swoje wojenne odznaczenia w klapie.

– Ja... – zapiszczał – od Lenino do Berlino... – rym mu się złożył ze strachu.

Naczelnik urzędu machnął lekceważąco ręką. Był zły, już drugi dzień bolał go ząb.

– Zamknąć wyjścia! – polecił swoim ludziom, którzy wsunawszy dłonie do kieszeni zajęli stanowiska.

Zaczął przesłuchanie. Po pięciu z balkonu. Z balkonu bowiem rzucono ogryzek. Przeważnie uczniowie tutejszego gimnazjum.. Ogryzek leżał na biurku.

– Na, dożryj do końca! – wrzeszczał naczelnik. – Twoje jabłko, tak?

Nikt się nie przyznawał. Złorzeczył naczelnik, a co bardziej podejrzanych prał po twarzy lub tłukł linijką po palcach.

Garbus przyczajony za drzwiami drżał o swego syna. Większość widzów z parteru stała milcząc przed budynkiem kina „Tęcza”.

– Kto to zrobił? – nieustępliwe pytanie przygwoździło kolejną piątkę przesłuchiwanym.

Przez otwarte okno wpadały beztrudne odgłosy letniego wieczoru; daleki śpiew, chichoty, dźwięk harmonii.

Onio, uczeń 10 klasy 11-letniej szkoły T.P.D., po raz pierwszy wtedy poczuł ciężar upokorzenia i dławiącej przemocy. Uczucie to bólem skurczyło żołądek.

– Ja to zrobiłem – powiedział donośnie.

Ulga i spokój, naprężone dotąd mięśnie zwiotczały naraz.

– Ja – powtórzył już cicho.

Noc po kinie spędził w piwnicy tutejszego urzędu. Zgrzyt kluczy, brutalne poszturchiwanie, ciemność. Było to przejście do innego świata. Dotąd żył jak inni jego rówieśnicy. Brał gorliwy udział w manifestacjach pierwszomajowych i przeróżnych masówkach. Skandował aktualne hasła i lubił podśpiewywać buńczucznie – „My Z. M. P., my Z. M. P., reakcji nie boimy się...”. Sam nawet, z własnej potrzeby, podchodził w niedzielne nabożeństwa pod kościół i wystawał tam w białej koszuli i czerwonym krawacie, czyli stroju organizacyjnym związku młodzieży. W ten sposób rzucał wyzwanie klerykalnej potędze i po trosze czuł się romantycznym bohaterem. Ten romantyzm bardzo własny, nieco rozwichrzony, ze świata książkowych egzaltacji brał początek. „Niebo w płomieniach”, pochłonięte z wypiekami, niemal tu odegrało rolę. Lubiał książki i czytanie posiadał rozległe. Nawet chwilami uważał, że zbyt dużo wątpliwości i zastanowień z tego wynika. Szkodliwy więc wpływ na jednolitość światopoglądu. Ale ulotne to były refleksje. Jednolitość jeszcze niczym nie była nadwątlona. Sam również w tej wsi, gdzie wyjeżdżał z rodzicami na letnisko, zwołał zebranie chłopów i wygłosił odczyt o kolektywizacji rolnictwa. Choć tym wyczynem był raczej rozczarowany. Chłopi słuchali w nieprzeniknionym milczeniu, czasem rozdzierające ziewnięcie. I długa cisza, kiedy skończył. Aż wreszcie z głębi izby zasnutą dymem papierosowym i wypełnioną nieforemnymi postaciami w kwaśno cuchnących kożuchach, ktoś powiedział:

– Ale ma gadane... jak nakręcony...

– Głupcze! – wybuchnął później ojciec. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego co byś jadł?  
Dalszy wywód ojca przyjął Onio wzgardliwym uśmiechem.

– Nie idziesz z duchem czasu – wycedził: – ...odstajesz... a nawet... – nie dokończył znacząco. I często z pozycji mentora karmił rodziców swą wiedzą ideologiczną z broszur i referatów. Wkrótce zauważył, że na jego widok urywają rozmowy. Cieszył się tą obcością. Był pewien swoich racji. Sądził również, że czas udowodni rodzicom ślepotę.

– Ofiary... – parował kontry ojca – jasne. Każda rewolucja wymaga ofiar.

W ogóle lubił przekonywać i nawracać. Miał taką potrzebę. Ochoczo więc podejmował się w zarządzie miejskim wygłaszania pogadank na wszelakie tematy. Jak inni rówieśnicy, też niekiedy korzystał z szyldu organizacji, żeby ratować własną skórę. Więc najchętniej przed lekcją łaciny (tego przedmiotu nie znosił najbardziej) podchodził do profesora zwanego Kaligulą i mówił z naciskiem: – Bardzo przepraszam, ale obowiązki społeczne zmuszają mnie do nieobecności, mam wyjazd w teren z brygadą propagandową.

Kaligula krzywił się jakby z niesmakiem, ale z lekcji zwalniał.

Ponadto brał udział w znęcaniu się nad polonistą, człowiekiem skompromitowanym swoją przedwojenną działalnością.

– Piłsudczyk – mówiono o nim – legionowy oficer, wiersze o 20 roku kropił...

Polonista, stary człowiek w wysokich butach ze sztylpami przemykał się niepewnie wśród uczniów, przypatrujących mu się z pobłażliwą złośliwością. I wspominał opowieści dawnych absolwentów szkoły, zetwumowców, którzy uzyskiwali najlepsze oceny z polskiego metodą, jak mówili, łagodnej perswazji.

– Wystarczy – powtarzali rady tamtych – odpowiednią minę uczynić, delikatną aluzją to podeprzeć i od razu wali piątkę z polaka!

Chichotali więc na jego widok jak drapieżniki bawiące się ofiarą i tak już skazaną na wiadomy koniec. W ciemnej piwnicy urzędu, gdzie co jakiś czas przez judasza w drzwiach zaglądał klucznik zwany Francuzem, ten niedawny okres ślepej wiary i bez troski skończył się nieodwołalnie.

Zapamiętał doskonale sieć pytań, którymi go osaczano.

– Kto był z tobą?

– Jak dawno już działacie?

– Kto kieruje?

– Miejsce spotkań?

– Skrzynki kontaktowe?

– Co jeszcze zrobiliście?

– Co mieliście w planie zrobić?

– Jak przerzucane są dolary z centrali?

Wtedy to rozwiął się mit jednego z uczniów maturalnej klasy, który przerwawszy na własne życzenie naukę, zaczął pracę w urzędzie. Marian G. Myślał o nim często i zawsze z podziwem. Utożsamiał z podręcznikowymi życiorysami bohaterów.

Te szczeniackie zapatrzenia sięgały jeszcze czasów, kiedy to w miasteczku tutejsi młodzi desperaci obrabiali w biegu kolejowe transporty niemieckie, a później sowieckie „szałony”, jak tutaj mówiono, jadące z wojennym łupem na wschód. Nieraz słyhać było strzały i zaraz potem jeden z tych opromienionych legendą śmiałków leżał martwy w trawie obok toru. Onio i inni chłopcy patrzyli na ciało przykryte papierem z rdzawymi plamami krwi i odpędzało ich dopiero – Rauss, weg! – bahszuca, lub śpiewne – Nielzia! – sowieckiego żołnierza w burym szynelu i uszance.

Właściwie sięgało to jeszcze dalej, aż do staré tutejszych chłopców z tymi co byli w Hitlerjugend, kiedy pewna część mieszkających tutaj od wielu pokoleń Millerów, Wagnerów,

Szulców i innych, podpisała niemiecką listę narodowości, a ich dzieci, ubrane w czarne welwetowe spodnie z pięknymi sztylcikami u pasa, maszerowały na pikniki i zbiórki, śpiewając wojskowe piosenki niemieckie. Największymi więc bohaterami dla Onia byli wtedy ci chłopcy z dzielnicy Piachy, którzy zaczęli się w krzakach przy żwirowej drodze i strzelali z proc do tamtych. Taki Bigos, Pyton, Repeta czy Kura. Zapamiętał ich na całe życie. Więc Marian G. jak tamci, bohaterowie jego dzieciństwa. W pierwszej linii. Najbardziej narażony. Wyobrażał sobie niebezpieczeństwa, którym musi stawiać on czoło, i wszystko mu wybaczal. Tak samo jak temu ospowatemu człowiekowi w skrzypiących oficerkach. Wydarzyło to się w letnie popołudnie. Wpadł ospowaty z restauracji „Idylla”, w dłoni trzymał rewolwer i wołał: – Wróć! Wróć!

Mężczyzna idący z kobietą zatrzymał się jak wryty. Zawrócili. Ospowaty pociągnął kobietę do „Idylli”.

– Możecie odmaszerować – polecił już łaskawie osamotnionemu mężczyźnie.

– On jest z urzędu – szeptali ludzie i przechodzili szybko, patrząc tylko przed siebie.

Onia zafascynowała siła emanująca z ospowatego. Upalny dzień. Tylu ludzi. On zupełnie sam. I bez cienia strachu. Mówił o tym z żarliwym uniesieniem. Powtarzał te wszystkie opowieści Mariana G. o bezlitosnej i jakże niebezpiecznej walce z reakcyjnym podziemiem.

– Boże! – szeptała matka. – Co z niego wyrośnie?

– Cóż na to poradzić? – w odpowiedzi ojciec. – Nie ma innych wzorów. W takim wieku przecież pragnie się wzorów. Psiakrew... – wzdychał ciężko ojciec.

Onio szydził z tej bezradnej troski ojca. Bawił się tym, i jeszcze większą bezradność powodował. Choćby to jego ostentacyjne strojenie się na zebrania organizacji. Pogwizdywał przy lustrze, zakładając białą koszulę, czerwony krawat, a na koniec przypinał do piersi znaczek z sierpem i młotem; podarunek od Mariana G.

Tutaj w urzędzie, podczas bezsennych nocy, kiedy płakał lub przeklinał na przemian, Marian G. przestał być dla niego ideałem bohatera. Wyobrażał sobie tego Mariana G. w coraz bardziej haniebnych i upokarzających działaniach. Bywał już tylko w tych jego majaczeniach ślepym oprawcą i katem. Ostatecznie pozbył się swego chłopięcego ideału.

– Klucznik marny – nazywał go podczas tych ciągnących się w nieskończoność nocnych godzin. Przypominał sobie również okrutną niefrasobliwość wszystkich potępień, w których brał udział. Wypełniona młodzieżą sala gimnazjalna, biel koszul przetykana czerwienią krawatów i ten grzmiący, jednolity chór: – Potępiamy! Potępiamy!

Potępiali często, poczynając od podżegaczy wojennych z Ameryki czy pokazywanego chętnie w karykaturach z toporem spływającym krwią, dyktatora Hiszpanii. Z tym jeszcze mógł się pogodzić. To były abstrakcje. Ale najlepiej zapamiętał usunięcie z organizacji kolegów, którzy zmienili przez pomyłkę (tak uznał dopiero teraz) litery w hasle wielkiego transparentu, co na początku spowodowało jedynie spontaniczny śmiech widzów... Ich twarze. Ich ręce. Ich samotność. I widział znów historyczkę, panią Wagnerową. I słyszał to brutalne żądanie Mariana G. skierowane do niej: – Żądamy więcej marksizmu! – Mała, drobna pani Wagnerową, jak ptak wtedy za pulpitem katedry. Przytłoczona żądaniem Mariana G., popartego zgodnym tupotem wszystkich zebranych w klasie. Wstydił się teraz i męczył, tak przemierzając te skąpe kilka lat swego zapamiętanego życia. A z ciemności trzymiesięcznego pobytu w śledztwie jedynym ludzkim wspomnieniem pozostał dla Onia klucznik zwany Francuzem. Ponury, bryłowatej postury mężczyzna. Reemigrant z francuskiego zagłębia węglowego Pas-de-Calais. Oddany swojej służbie bez żadnych wątpliwości. Nienawidził ludzi zamkniętych w piwnicznych celach. Patrzył na nich jak na robactwo i prał pękiem kluczy przy każdej okazji. Jedyną wątpliwość w jego poglądach posiał właśnie Onio. Ten wąty, bardzo dziecinny z wyglądu, uczeń gimnazjalny zastanowił go jakoś. Zrazu przypatrywał mu się ukradkiem, a kluczami jedynie jego nie trącał po grzbiecie.

– Coś ty narobił takiego? – wyrwało się raz Francuzowi.

Ale nie czekał na odpowiedź. Zatrzasnął drzwi celi. Znowu milczał jak zaklęty. Aż wrócił Onio z kolejnego przesłuchania. I słabość przemożna ogarnęła go wtedy. Pragnienie wolności, domu, rodziców... To wszystko obiecywali ci tam na górze, jeżeli podpisze. Nie podpisał. Więc płakał bezsilnie. Klucznik zwany Francuzem otworzył cicho drzwi, stanął w progu i patrzył. Chrząknął raz, drugi. Rzucił papierosa.

– Zapal – burknął. – Pomaga.

Płacz Onia przykuwał go dalej. Znowu chrząknął.

– Młody taki – powiedział jakby do siebie, a głos miał nadspodziewanie ciepły – *garçon*.

Wątpliwości zakiełkowały w nim znaczne, bo odtąd wyraźnie oszczędzał młodego aresztanta, łamiąc surowe przepisy regulaminu. W zwyczaju też miał uchylać drzwi celi i przypatrywać się chłopcu w milczeniu. Wzdychał i na odchodne rzucał papierosa.

Był to jedyny zapamiętany wizerunek człowieka z tamtej strony. Bardzo pragnął Onio zobaczyć jeszcze tego klucznika, przezywanego Francuzem. Ale nie zobaczył go już więcej.

A w dalszym tle niczym męczące widziadła przesuwali się ludzie z piwnicznych cel.

Człowieczek ze złotymi zębami, który dygotał w nieustannej febrze strachu.

– Jestem szpiegiem! – wołał. – Dlaczego?

To znowu surowy mężczyzna o łysej jak wypolerowana czaszce.

– Podpisałem wszystko – powiadał z uprzejmym uśmiechem. – Jeszcze podpiszę. Co będą chcieli, proszę bardzo.

Onia darzył podziwem za jego upór.

– Młodość – wzdychał. – Ja sam kiedyś...

Starzec o wyglądzie patriarchy.

– Ja – mówił czasem patriarcha po powrocie z góry – tylko sobie liczę, raz, dwa... Dojdę do trzydziestu... Wtedy strach, ból przychodzi... To zaczynam wyć. Lepiej, mówię wam...

I ten chłop z sumiastym wąsem. Rozstawiał on czasem koślawe palce z czarnymi paznokciami.

– Giwer, może być, banda, może być, palnąłem go, może być, judziłem, też może być... Ale Józka wam nie dam, za Boga, nie!! – wołał zaciekle.

Wszyscy oni wstawali niczym manekiny, słysząc zgrzyt klucza w zamku, i na znak strażnika znikali w korytarzu. Wracali milcząco i układali się na pryczach twarzami do ścian. Czasem krzyczeli przez sen.

I kiedy wreszcie opuszczał Onio posępny budynek z kratami w oknach, jak drwina zabrzmiały dla niego ostatnie słowa oficera na piętrze: – Ze względu na wasz młody wiek dalszych konsekwencji wyciągać nie będziemy i sądzimy, że zdołacie zmasać tę brudną plamę na swoim życiorysie...

– Ostatni zgrzyt klucza, twarz wartownika, brama. Znalazł się na wolności. Oddychać zaczął łąpczywie. Cieszył się. Choć równocześnie miał wrażenie, które sekundy tylko trwało, ile było niezwykle przejmujące i wyraziste: Świat cały wydał mu się szary i beznadziejny. Tak jakby ta piwnica, z której wyszedł przed chwilą, rozciągała się wszędzie. A dzień przecież był wtedy słoneczny, ładny. Świeża zieleń, niebo. To krótkie, przygnębiające wrażenie zagasło. Znowu cieszył się tylko. Ulica. Chłopcy grają w piłkę. I buda fryzjera Zygmunta po drodze. „Wódka i Przybyszewski”. Bogowie fryzjera Zygmunta. Tak zawsze mówił. I bardzo lubił ich szczeniackie zaszuchanie.

– Ideały – powiadał – to dobre dla was, ale nie dla mnie. starego wróbla...

– Gniołło cię życie, frajerze – oburzał się pijany Olczak – wyzysk, krwiopijce... I teraz jest szansa, odkuć się, kapujesz?

Fryzjer Zygmunt uśmiechał się uprzejmie, a potem zasypiał. Ta buda mignęła kiedyś jak pociągający swą odmiennością świat. Zamknięty na burzliwe wydarzenia wokół. Słoneczniki melancholijnie zwieszały swoje tarcze. Zawsze tam słoneczniki.

Dom, w którym mieszkał. Dozorca zamiata podwórze. Trzepak na tym samym miejscu. Gołębnik syna dozorca też. Wszystko tak samo. A jednak... Dozorca zastygł z dłonią wspartą na miotle. Odprowadza go uważnym spojrzeniem. Ciężar tego wzroku. Stukot własnych butów po bruku podwórza.

Rodzice nie pytali o nic i Onio też nie chciał o tym niedawnym mówić. Milczące porozumienie, które zapanowało z ojcem było najlepszym tego dowodem. Ojciec wyciągnął papierosy. Poczęstował syna. Po raz pierwszy to uczynił. I tak zaciągali się chciwie dymem. Ojciec i syn.

– W takich miejscach odosobnienia – zauważył ojciec – niełatwo o palenie.

Ojciec. Matka. Oczywiście osoby w jego życiu. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Teraz tak. Niepokój matki. Długie, burzliwe rozmowy. Ojciec zrywa się gwałtownie z fotela. Szybko przemierza pokój. Skrzypi podłoga.

– Przestań! – głos matki. – Masz dziecko, pomyśl o tym!

I któregoś z pierwszych dni po powrocie zapytał o to właśnie. Ojciec uśmiechnął się smutno.

– Po prostu – rzekł – inaczej sobie to wszystko po wojnie wyobrażałem. Też pewien anachronizm, przywykłem mówić co myślę – znów smutny uśmiech – więc siłą rzeczy miewałem kłopoty. Stąd niepokoje mamy.

Był lakoniczny. Nie więcej nie powiedział.

Tak mijały pierwsze dni rekonwalescencji. Spacerował po parku. Czytał ulubione książki. Kolegów raczej unikał. Na razie chciał być sam. I tak jak zwykle, od tygodnia już, szedł tą parkową alejką. Minał pomnik Mickiewicza. Doszedł do skweru. Rozglądał się, szukając ustronnej ławki. Naraz drgnął. Znajoma twarz! Ruszył szybkim krokiem. Dopędzał tamtego. Patrzył z napięciem. Nie mylił się na pewno. Tę twarz zapamiętał w każdym szczególe. A przecież raz tylko widział go w życiu. Wtedy właśnie! Ile razy myślał o nim. Niekiedy ze złością, nienawiścią nawet. Lżył go i szcurem nazywał. Małym, oślizłym szcurem, przemyskającym się cuchnącymi kanałami przez życie. Pisk jego szczurzy słyszał. Kopniaki i razy, które przyjmuje z pokorą. Nieustannie pogrążony w czujnym przemyskaniu. Choć w momentach rozsądku nie czuł do niego żalu. Sam przecież wybrał tę sytuację. Jednak kiedy zobaczył go znów, wszystko zawirowało raptownie. Tamten chciał zawrócić. Zakręcił się w miejscu. Rozejrzał się jak osaczony. Nie miał odwrotu. Więc chciał go minąć. Udał, że nie poznaje po prostu. Oblekł twarz w minę człowieka zafrasowanego czymś odległym i ruszył energicznym krokiem. Onio zastąpił mu drogę. Tamten zasłonił się odruchowo. I tak stali naprzeciw siebie. Twarz w twarz. Rozbiegane oczy tamtego. Jego palce, niezwykle ruchliwe, chwyciły klapy marynarki., to znowu puszczały.

Oto nastąpiło spotkanie z rzeczywistym sprawcą incydentu w kinie.

Onio już był spokojny. Gorąca fala odpłynęła.

– Część! Co, nie poznajesz? – zapytał uprzejmie.

– Nic o mnie nie powiedziałaś! – zdumienie, strach w głosie tamtego.

Onio pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego przyznałaś się do tego ogryzka? – jeszcze większe zdumienie.

– Wyłącznie z pobudek osobistych – odparł Onio. – Czegoś miałem dość. Sam nie wiem czego. Impulsywna reakcja. A jeszcze jak pomyślałem, za chwilę walnie mnie w pysk!

Tamten nic nie zrozumiał. Miał w sobie przebiegłą uległość niewolnika.

– Co z tego – powiedział. – Dostałbyś po pysku, fakt, ale na tym koniec, nic więcej, wychodzisz sobie z kina, śmiejesz się, klawo jest, już po wszystkim...

– Ba! – roześmiał się Onio – żeby tak naprawdę mogło być!

Dalej to już przyjazna pogwarka. Rozładowanie. Rozstali się jednak bez podania rąk.



– Do końca konspiracyjna sprawa – powiedział na odchodne Onio.

Tamten przytaknął skwapliwie. Uległy był i wdzięczny.

Już nigdy więcej nie myślał Onio o tym chłopcu z balkonu w kinie „Tęcza”. Jego twarz rozmazała się zupełnie. Zresztą wkrótce zaczęła się żmudna wędrówka po inspektoratach i gabinetach dyrektorów związana z podjęciem nauki. Kłopoty z powrotem do szkoły były oczywiste. Stracony został rok. Charakterystyczne szepty i spojrzenia nie opuszczały go przez długi czas. Różnie o nim mówiono w miasteczku. Dla jednych był imponującym śmiałkiem, inni patrzyli na niego wrogo. A w dzień 1 Maja jako jednostkę niepewną, wręcz szkodliwą, zatrzymano go przez dobę w komisariacie policji.

– Profilaktycznie... – zmieszał się dobroduszny sierżant – no co zrobić, takie są instrukcje.

Głupio mu było zapewne. Sąsiad przecież i tak jak ojciec, zamiłowany hodowca królików. Ponadto jemu to Onio udzielał bezinteresownych korepetycji, kiedy uczył się w wieczorowej podstawówce. Więc spędził tę noc w aresztanckiej celi wraz z grupą bikiniarzy, długowłosych chłopaków w wąskich jak kiszeczki spodniach, częstowany gorliwie papierosami przez sierżanta– sąsiada.

Zainteresowanie Oniem przyciągnęło wkrótce. Miasteczko miało nową sensację. Ujęto wtedy przebiegłego i obdarzonego fantazją oszusta, który odwiedziwszy mieszkanie sekretarza Komitetu partyjnego podczas jego nieobecności, zdołał zdobyć zaufanie żony, przedstawiając się jako przyjaciel męża jeszcze z podziemnej pracy partyjnej podczas wojny. Tak więc pozyskawszy jej zaufanie, okradł mieszkanie sekretarza w sposób bezczelny. Schwytano go w trakcie beztraskiej libacji, kiedy przepijał pieniądze uzyskane z kradzieży. Człowiek ów miał w klapie wizerunek Stalina na czerwonej podkładce i pikanterią był fakt, że nie pozwalał sobie w żaden sposób zerwać tej ozdoby. Skape informacje o jego dalszych losach mówiły, że zdołał zachować ten metalowy wizerunek nawet w areszcie. Płakał i pieścił swoją ozdobę, odnosząc się do niej jak do relikwii najświętszej. Nie wiadomo więc zupełnie, co czynić w tej delikatnej materii. Miasteczkowa plotka przypuszczała, że był to dawny działacz naprawdę lub wariat po prostu.

Natomiast Onio oparcie i azyl znalazł znów w świecie ulubionych książek. Dawały równowagę i pogłębiały niezależność myślenia. Książki. Przypomniał sobie zdarzenie z nimi związane. Znów tu wkracza Marian G. Pałacy wstyd z tego powodu.

Była to pamiętna jego wizyta w domu Onia. Długo oczekiwana i upragniona. Pierwsza wizyta. Marian G. przegląda książki w bibliotece ojca.

– Dużo – mówi.

Twarz ma surową, oczy uważne. Naraz krzywi się z obrzydzeniem. Wskazuje palcem jeden tytuł, drugi, trzeci...

– To należy wyrzucić. Zgniła, burżuazyjna bzdura. Czad tylko...

I spojrzał ostro na Onia. Onio przytaknął skwapliwie. Zaraz potem usunął większość książek, potępionych przez Mariana G. Po prostu zniszczył. Zostawił tylko (jakby nawet skrycie wobec samego siebie) kilka najbardziej ulubionych.

Wtedy również polecił mu Marian G. „Jak hartowała się stal”.

– Bezwarunkowo trzeba czytać. Wiele razy.

Teraz najbardziej zastanawiał pewien przypadek, dosyć istotny. Jednej książki Marian G. nie zauważył. Leżała luzem. Wydawnictwo Roju. Sergiusz Piasecki. Na okładce jaskrawy rysunek przedstawiający czerwonoarmistę w kolczastym hełmie, z krwiożerczą twarzą i dymiącym naganem. Szarżował na przerażone dziecko.

Powiedział o tym ojcu. Ojciec roześmiał się.

– Cóż... – rzekł. – Razem byśmy spędzali czas w piwnicy.

A po „Jak hartowała się stal” przyłapano go przez matkę, kiedy kłuł sobie szpilką do krwi mięśnie naprężonej ręki.

– Żałosny błźnie! – wybuchnął wtedy ojciec. – Mógłbyś na przykład pomóc starej pani Paszkiewiczowej w kopaniu ogródka!

Nienawiść prawie do ojca. Ale coś z tej kpiny dotarło już wtedy do niego, bo zaprzestał tych praktyk z hartunkiem.

Tak wyglądała droga Onia. Uczęszczał już do nowej szkoły w peryferyjnej dzielnicy Warszawy. Z zaciekłością przygotowywał się do matury, zdawał sobie bowiem sprawę, że musi umieć znacznie więcej od innych. Nauką więc zagłuszał wiele, ale bywały przecież smutki, zwątpienia i niepokoje.

Z pomocą przyszły studia. Właśnie nauki ścisłe, które wybrał po maturze. Politechniczne studia. Wybrane chyba przede wszystkim z niechęci do ideologii, która przeniknęła humanistyczne dziedziny, ugniatając je brutalnie jak ciasto. W równaniach i wzorach, w świecie liczb, cyfr i symboli, układanych w logiczny, konsekwentny porządek dopatrzył się Onio najlepszego dla siebie oparcia. Nie był to wybór zupełnie świadomy. Raczej instynktowna ucieczka od niejasności i zamętu. Onio zakotwiczył się na wydziale budowy maszyn. Dzień wywieszenia list w dziekanacie był dniem jego triumfu. Do końca przecież niewiadoma była jego sytuacja. Zapamiętał tych z komisji, którzy grzebali zapamiętane w teczce z papierami i co raz podnosili głowy, przypatrując mu się pilnie.

Wciągnął się szybko w nowe zainteresowania i polubił nawet mozolne przedzieranie się przez podręczniki i skrypty, najeżone formułami, wykresami i wzorami. Ale od powrotu z piwnic urzędu pozostał w nim już na stałe strach. Ten strach ożywiał się znienacka.

Pokazano mu po uroczystym wykładzie inauguracyjnym w auli tego starszego nieco od innych studentów faceta w brązowym garniturze, zielonej mundurowej koszuli i takim samym krawacie.

– On jest z urzędu – konspiracyjny szept – opiekuje się naszym rokiem.

Uśmiechnięta twarz tamtego i oczy zimne, bez uśmiechu. Tak przynajmniej zobaczył je Onio. Jakby zatrzymały się dłużej na nim. Wie wszystko? Węszy? Co może z tego wyniknąć? Ogarnął go niepokój człowieka doświadczonego.

Drugi raz to samo. Ten z bezpieki zagadał o jakimś kolokwium. Zdawkowa rozmowa. Ale nie dla Onia. Dlaczego z nim rozmawia?

– Cześć – rzekł na koniec niby beztrąsko, a odchodząc miał przekonanie, że oczy tamtego świdrują go uporczywie. I w toalecie raz się przestraszył. W przerwie między wykładami wszedł do kabiny. Zobaczył napis szydzący klozetowym, fekalicznym stylem z Wielkiego Sojusznika. Kałem wysmarowany ten napis. Równocześnie posłyszał kroki na korytarzu. Ktoś idzie do toalety! Przeniósł się do następnej kabiny i zamknął drzwi na haczyk. Tu nie było żadnego napisu. Kroki oddaliły się. Dopiero po długiej chwili wymknął się z tej klozetowej pułapki. „Przy moim obciążeniu – pomyślał mimowolnie – taki napis to koniec”.

Parszywy ten strach. Poniżał go. Rozumiał to doskonale. Ale przecież nie tylko sama histeria była przyczyną tych obaw. Intuicja, drobne fakty, gesty, spojrzenia, przemawiały dosyć wymownie za tym, że w jakiś sposób jest na cenzurowanym.

Starościna jego grupy, Ela, rzetelna i uczciwa dziewczyna, dyskretnie poradziła mu, żeby wystrzegał się nieobecności na zajęciach.

– Musisz szczególnie uważać – powiedziała z naciskiem.

– Dlaczego właśnie ja? – zdziwił się w pierwszej chwili Onio.

– No wiesz... – Ela też się zdziwiła.

Podobała mu się. Jasna, pogodna. On jej też. Ta przyjacielska rada starościny Elżbiety stała się właśnie początkiem znacznie bliższego związku między nimi. Więc miał różne sygnały. Jeszcze ze szkoły. Sprawa Mysikrólika to przecież też fakt.

Bronią przeciw poczuciu zaszczucia i obcości stała się ironia i żart. Nauczył się zonglować jak wirtuoz. Toteż pełen niechęci wzrok kolegi Wojtczaka, aktywisty młodzieżowego z kursu

wstępny zamiast matury, bawił go nawet. Z błazeńską ostentacją rozkładał na swoim pulpicie nie tylko podręczniki i skrypty, ale wiersze Leśmiana, prozę Poege czy Choromańskiego.

– Lektura nieobowiązkowa – tłumaczył zbaraniałemu Wojtczakowi – ale niewątpliwie poszerza horyzonty intelektualne.

Ta ironia nie dawała podstaw do jednoznacznej oceny, ale zastanawiała jednak.

– Słuchaj K....ski – zapytała koleżanka Domagalik, gruba dziewczyna o wyglądzie dojarki.  
– Czy to prawda? Podobno ty jesteś obcy element... znaczy klasowo... – Speszyła się zaraz tym pytaniem. – Tak mówią – dodała niepewnie.

– Bo ja wiem – odparł Onio – mój stary całe życie dosyć ciężko pracował. – Właściwie nie potwierdził, ani zaprzeczył. Jeszcze uśmiechnął się. Speszył koleżankę Domagalik do reszty.

Czasem ryzykował. Ryzyko dawało większą satysfakcję. Choćby egzamin z marksizmu-leninizmu czyli diamatu jak mówiono. Na niektóre pytania odpowiadał świetnie, to znów wykazywał absolutną niewiedzę w przedmiocie. Egzaminator jak na huśtawce. Raz z uznaniem. Raz pełen osłupienia dla ignorancji odpowiadającego. Na koniec historia W.K.P.(b). Również doskonale odpowiedzi.

– Proszę jeszcze powiedzieć pełną nazwę tego skrótu – egzaminator sięga po indeks, chce wpisać ocenę.

Onio odpowiedział pomijając – b– w nawiasie.

– A to w nawiasie? – pyta egzaminator.

Długa chwila namysłu.

– W nawiasie – odpowiedział podniośle Onio – jest sześc.

I znów cisza. Egzaminator miał jednak poczucie humoru. Przygryzł wargi, żeby skryć śmiech, i przedmiot uznał jako zaliczony. Tylko z zastanowieniem przyjrzał się temu układowemu o nieprzeniknionej twarzy studentowi.

– Pan wybaczy – powiedział Onio, kłaniając się głęboko – techniczne studia – skłonność do cyfr, liczb.

Żart z magiczną cyfrą – 6 – nie przedostał się wyżej. Potwierdziło się przypuszczenie. Egzaminator miał poczucie humoru.

Działał Onio skokami. Równocześnie dla umocnienia swej podejrzananej reputacji chętnie brał udział w ochotniczych akcjach społecznych. Na przykład wyjazd na wykopki kartoflane. To było nawet wesołe. P.G.R. gdzieś na Mazurach i oni leniwie człapią w błocie za koparką.

Był tam kierownik, który budził ich o świcie, niechętnych przecież do wstawania, gromkim zawołaniem: – W imieniu klasy robotniczo – chłopskiej, pobudka, job waszu mać!

A oni umieszczali nad drzwiami kubeł z wodą, która wylewała się na głowę kierownika.

W sąsiednim P.G.R.–e mieli pod ręką dziewczyny, też ochotniczki, z fabryki marmolady. Umawiali się z nimi na spotkania w stodole, przekupując wódką nocnego stróża. Albo zaprzęgali wóz w dwa perszerony i gnali po okolicznych polach, szeleszczących nacią kartoflaną. Od fabrycznych dziewczyn wiele dowiedział się Onio o niełatwym życiu tych, w imieniu których rządono. A któregoś dnia pojawił się stary Mazur, pragnący bardzo wyjechać stąd. Johann Kęcrock. Pykał fajeczkę z metalowym cybuchem i gderał: – Co za robota, co za porządki... I ludzi nic szanują – dodawał ciszej.

– Gdzie pan zamierza wyjechać, do Niemiec? – zapytał Onio.

Stary przyjrzał mu się przenikliwie. Wypłowiawe, niebieskie oczy. Pyknął z fajeczki i rzekł burkliwie: – Gadanie, *mein lieber*, teraz nie popłaca.

Tylko w pożegnalny wieczór rozgadał się i opowiedział, jak tutejsi komuniści wyszli z czerwonymi chorągwiami witać wkraczające oddziały sowieckie.

– Tra–ta–ta – zakończył beznamiętnie – wysiekli całość. – Położył suchą, twardą dłoń na kolanie Onia i zaśmiał się śmiechem dziwnym jak kaszel.

Wracali z tych pegeerowskich wykopków z wesołym śpiewem jak z wakacji. Nie przeszkadzały sztandary i hasła, cała ta drętwa, grzmiąca obudowa wokół nich; roześmiane twarze, naczepiali dziewczyny, wspominali niedawne przygody. Wiało wtedy przez chwilę harcerskim biwakiem i beztroską, z dala od poważnych obowiązków, czujności i smutnych wyrzeczeń. Można powiedzieć, że nadal panowała dobra aura pewnych zdarzeń. Tak to zachował w pamięci. I ciągle tliła się ufność wobec ludzi. Mimo to, że tyle już razy doświadczana dość drastycznie. Kolega, który pożyczka bez ociągania pieniądze. Ktoś zaprasza na wódkę. Ci ze wsi dzielą się swoją smakowitą wałówką. Miłe, ufne dziewczyny. Podwieczorek taneczny w akademiku. Stary profesor ma rozpięty rozporek. Śmieją się wszyscy. I ci z zarządu wydziałowego. I ci z komórki partyjnej też. Nawet ten, o którym mówiono, że jest konfidentem. Solidarnie podrzucają sobie ściągawki na egzaminie. Przebrane w karty stypendium. Przerażony, uległy wzrok sekretarza organizacji partyjnej roku wlepiony w surowego docenta. Jego dziecinne: – Zdałem, hurra!! – kiedy wychodzi i ściska dłonie kolegów.

– Zapraszam do Fukiera! – woła – wszystkich! – Ciągnie też serdecznie Onia.

Chwilami więc mimo różnic i sztywnych kostiumów, stawali się naturalni, życzliwi wobec siebie i ufni. Ta przedziwna przyjaźń Onia z działaczem studenckim tamtych czasów. Płomienny mówca, obdarzony czystym, porywającym głosem. Jego Wiara namiętna w obowiązujący katechizm. Fanatyzm bez cienia wątpliwości.

„Savonarola” – myślał o nim Onio.

I było coś elektryzującego, niesamowitego, kiedy tamten wygłaszał swoje improwizacje. Cały ten zestaw nieustannie powtarzanych sloganów, gróźb, zaklęć i pochwał ożywiał się jakoś w jego wykonaniu. Dzieliło ich więc prawie wszystko, a jednak trudna do uchwycenia zażyłość zaistniała między nimi. Tamten był przecież inteligentny, myślący i na pewno uczciwy. Wyróżniał się w tym tłumie tępowych, bezmyślnych i zastraszonych studentów. Chwilami Onio miał takie wrażenie jakby siebie niedawnego jeszcze z Działaczem porównywał. Zafascynowany odkrywaniem swego wizerunku z niedawnej przeszłości. A też rozważający swój potencjalny rozwój w teraźniejszości gdyby... Właśnie. To gdyby... Bo wtedy zupełnie już wyblakli i do zwyczajnych wymiarów przywróceniu zostali dawni idole jego dzieciństwa. Ci zetwumowcy, ormowcy, kulawy Olczak, chłopaki z Piachów; ci pionierzy w wieloletniej już sztafecie. Woła ochryple kulawy Olczak słowami pieśni: – „My pokażemy jak szczęście budować w krąg...”. – Dawaj go, kulacką maciore! – szarpie przerażonego wieśniaka. – No gdzie masz zboże, gdzie!! – To dla niego właśnie porzucił Onio harcerski zastęp Bobrów, gdzie był kronikarzem i przeszedł do pionierów, młodszych braci Z.W.M.–u, jak mówiło się wtedy. Dla Olczaka porzucił Z.H. P., wszystkie te sprawności i węzły, życiorysy Małkowskiego i Strumiły, egzaminy na stopnie, młodzik, wywiadowca, harcerz orli i tak dalej. Porzucił wtedy bez wahania... Groteskowe to teraz. Ćmy trzepoczące wokół lampy. Ale równocześnie ile lat ślepego, zmarnowanego życia?... Nikomu o tym nie mógł powiedzieć. Jedynie do Działacza ciągnęło go nieprzeparcie i czujna ostrożność zawodziła chwilami.

Tamten też Ignął w jakiś sposób do niego. Może odmienność go pociągała. Rozmawiali często. Posługiwał się Onio niezbyt subtelnymi aluzjami.

– Taka anegdota mi się przypomniała – zaczynał patrząc w sufit – ... szkoła hitlerowska, wojsko czy policja, nie wiem dokładnie. Podobno prawda. Każdy elew chował psa od szczniaka, czułość, przywiązanie, Niemcy lubią zwierzęta. A następnie rozkaz komendanta: należy własnoręcznie zatłuc... Sprawdzian hartu i twardości po prostu.

Działacz spoglądał podejrzliwie. Onio nic, poziewywał obojętnie.

– Dwóch jest takich – bombardował dalej – przyjaciele, no powiedzmy, dobrzy koledzy. Jeden myśli inaczej, nie tak jak należy i wcale się z tym nie ukrywa. Co zrobić z takim? Jak

powinien zachować się strażnik obowiązującego porządku? Ciężki problem... – monologował, zachowując kamienny wyraz twarzy, czystą teorią tego przypadku pochłonięty. – Czujność. Wróg nie śpi przecież. Problem ponadto: świadomy tego czy nie? Wychowawczo na niego podzielać czy represyjnie? Co zrobić z takim?

Działacz kręcił się niespokojnie. Wzburzenie ujawnił nieudolną próbą zmiany tematu.

Razem też spotykali się ze swoimi dziewczynami. Wybierali się na potańcówki czy podmiejską ciuchcią gdzieś do lasu. Śmieli się, pili wino, opowiadali kawały. Ta sama łączyła chęć kobiecego ciała i maskowana cynizmem nieśmiałość. Obcość zanikała wtedy zupełnie. Zwierzenia do późna w noc. Mieli podobne marzenia i nadzieje wieku młodzieńczego. Działacz, tak samo jak Onio, pragnął zostać wybitnym specjalistą w obranej dziedzinie studiów. Fascynowały ich biografie Einsteina, Heisenberga, Nielsa Bohra.

– Czy można jeszcze w dzisiejszych czasach zespołowych badań zabłysnąć samodzielnie?  
– pytał w dziecinnym uniesieniu Działacz.

W takich późnonocnych godzinach rozluźniała się jego dyscyplina i gromka jednoznaczność. A światopogląd, który nazywał marksistowskim, również wielokrotnie nie przystawał do rozmaitych wątpliwości i refleksji. Tak że podczas takich godzin, wydawać się mogło, zupełnej szczerości, przygwoździł Onio tamtego czymś, co przestało być jedynie aluzją mogącą budzić sprzeciw natury ogólnej. Dotyczyło to już osobistych spraw Działacza.

Ale też zaczął przypowieściowo: – Wiesz, to dopiero dylemat, rodzice starego typu, niechętni nowemu, wręcz reakcja, szydzą i złorzeczą. Ten młody, czysty, gorący, nie może tego znieść. Wyczerpał wszystkie sposoby. Próbował przekonać, groził. Nic nie odniosło skutku. Co ma zrobić? Donosi na nich, nie, źle powiedziałem, informuje kogo należy. W imię idei odcina się od nich ostatecznie i oczyszcza, prawda?...

Nie zdołał jednak dokończyć. Działacz zerwał się gwałtownie. Chwilę jakby zmagął się ze sobą.

– Dla wroga – wycedził wreszcie z lodowatym chłodem trzeba nie mieć litości.

– Czy tu jest miejsce dla Einsteina, ha, ha!! – zawołał Onio.

Tamten wyszedł bez pożegnania. Zaraz ojciec zajrzał do pokoju. Słyszał zapewne tę ostatnią przypowieść i reakcję tamtego.

– Obraził się? – zapytał.

Onio pokiwał głową.

– Chwała Bogu... – powiedział po długiej chwili ojciec że ty chociaż nie dałeś się zacządzić... Bo ta wiara ślepa młodych może niebawem zamienić się w równie straszną niewiarę i cyniczną małoduszność... Według moich domorosłych prognoz – rozważał ojciec – muszą nastąpić pewne wstrząsy... Choćby po to, żeby ciśnienie trochę się obniżyło. Dla częściowego przewietrzenia. – Popatrzył z nagłym niepokojem na syna. – Powinieneś jednak uważać na siebie – powiedział nieoczekiwanie

Zawstydził się tą niewolniczą radą. Ze zdwojoną gorliwością zajął się przecieraniem okularów.

– Wiesz... – powiedział – głupia ta nasza historia. Poligon ćwiczebny dla rozmaitych szaleńców i bęcwałów. Ani spokoju, ani ciągłości... Wszystko poprzerywane... Ciągłe przemoc, zła geografia, uwikłania. I tyle krwi za tym płynie. Aż dziwne, że żyć tu można. Twarda skóra, skamieniałe serce, pańszczyźniana zgoda, oto jedyne doświadczenie, warunki przetrwania, psiakrew... Z wojny takie zdarzenie mi się przypomniało: było rozporządzenie okupanta, wszyscy mężczyźni posiadający wyższe wykształcenie mają się zgłosić tu i tu. Ogłaszali z megafonu, gestapo chodziło po domach. Ja też początkowo chciałem iść na zbiórkę... Ale tak jakoś, schowałem się za altanką w łopianach. Przyszli, pytają. Mama mówi: chory, w szpitalu. Nie szukali nawet, poszli sobie. A tamtych wywieźli do Oświęcimia. Bez sensu, ciągle po krzakach, psich budach... Ukryć się, przeczekać!!

Onio długo jeszcze stał w oknie i patrzył w ciemność. Noc. Nic nie widać. Tylko światełka tu i ówdzie. Ale jakby to dzień, wszystkie elementy pejzażu przed oknem odtwarzał precyzyjnie. Spadzisty dach budynku jego dawnej szkoły. Wieża kościoła. Akacje nad stawem. Buda fryzjera Zygmunta. Niezmienny od lat widok. Zastanawiał się nad prognozą ojca. Nic za tym nie świadczyło. Wszystko było tak stałe i niezmiennie jak ten widok.

– ... Heisenberg, Einstein... – powtarzał. – Co my wiemy o świecie? Świat o nas? Co znaczy prawda? Czy wolno dochodzić do niej samodzielnie? A co znaczy spokój? Za jaką cenę? W ciemności pokazały się błyszczące, złe oczy Działacza. Ale wstyd w nich równocześnie... Potem kolej na codzienny realizm przyszła. Co wyniknie z tej przypowieści? Wyrzucą z uczelni czy tylko zawieszą?

I znowu wyobrazenie niezmiennego widoku przed oknem. Niezmienny porządek wszystkiego. I po raz pierwszy miał poczucie czasu, który jałowo marnieje z latami. Czekał więc na reakcję Działacza. Ze studiów jednak nie wyrzucili. Nic się w ogóle w jego sytuacji nie zmieniło. Jedynie Działacz unikał go wyraźnie. Żarty Onia stawały się w tym czasie coraz bardziej nieopanowane. Nie mógł się powstrzymać. Coś korciło nieustannie, niezależnie od rozsądku. Ta rozkosz dziwna balansowania na krawędzi. Działacza też prowokował.

– Heisenberg, Einstein... – mówił niby do siebie – ciekawe co oni by tu robili.... – wymowna pauza. – Co by z nimi zrobiono?!!

Większość kolegów z roku nie rozumiała tych pytań. Ale kiedyś wreszcie... Ten konfident Mrozek wyraźnie zagląda już za nim. Śmiał mu się prosto w tępą, tropicielską gębę.

– Pisz! – wołał. – Notuj, bo zapomnisz!

Elżbieta trącała go ostrzegawczo. Patrzył na nią ze złością.

– Właściwie – mówił – nie rozumiem twojego poświęcenia. Z takim typem jak ja...

Ale Elżbieta była łagodna i spokojnie znosiła jego wybuchy.

Wielokroć wracając z zajęć na uczelni, patrzył z zaciekawieniem na gromadę chłopaków pod Fotoplastikonem. Dochodziły stamtąd dźwięki dżezu, a oni podrygiwali w takt muzyki. Pikiet. Chłopcy z pikiety. I teraz dopiero ten wyszydzany i tępiony świat bikiniarzy wydał mu się sympatyczny i bliski. Kolorowe ptaki tamtych lat. Chłopcy spod zegara na śródmieściu. Chłopcy spod praskiej cerkwi. Długie włosy, przylizane brylantyną, z misternymi czubami nad czołem, wąskie spodnie i bajecznie malowane krawaty.

Podśpiewywali – „Leci figus Targową ulicą za nim dziwka z rozpiętą spódnicą...” – Albo „ ... Raz Maniana szła pijana...” – Czy – „Szła karawana, wielbłądów ciągnął długi sznur, jakaś moc niezbadana gnała ją sam nie wiem gdzie...”.

Czasem ostrzegawczy okrzyk: – Gliniarze!

Pierzchali wtedy w bramy i zaułki.

Onio próbował zbliżyć się do nich. Korzystał ze swojej erudycji, opowiadał o początkach dżezu, negro spirytuals i blusach. Byli nieufni.

– Czyś ty nie kapuś jaki? – pytali niby żartem, ale poważnie.

Aż wreszcie mógł sobie powiedzieć, że naprawdę pozyskał ich zaufanie. Czynem dosyć ryzykownym to osiągnął. Był wieczór. Szamotanina w bramie. Krzyki. Podbiegł. Dwaj z zempowskiego aktywu przyciskali do muru bikiniarza. Jeden chwycił za nożyce i czub spiętrzony nad czołem ścinać już chce. Decyzja Onia była spontaniczna. Tego z nożycami uderzył głową. Nie na darmo trenował uliczne bójki z chłopakami z lumpowskiej dzielnicy Piachy.

Osaczony łatwo już dal sobie radę z drugim aktywistą. Tamci uciekli jak zające.

– Równy z ciebie koleś – podziękował bikiniarz. – Jak chcesz przyjdź do nas na pikietę... Pod zegar...

Rozstali się w przyjaźni. Na chodniku porzucone przez aktywistę wielkie, toporne nożyce do strzyżenia owiec. Onio trącił je nogą. Zgrzytnęło żelazo. Więc był to jego sukces. I tajemnica. Jak buda fryzjera Zygmunta.

W chwilach gwałtowniejszej rozterki zachodził Onio do gabinetu starego Profesora. Ciemnowo. Regały pełne książek ze złożonymi grzbietami. Masywne biurko jak forteca. Ta siwa, śmieszna bródka Profesora. Jego łagodny uśmiech. Spokój i ład. Znajomość ta zaczęła się od egzaminu. Polubił Profesor tego inteligentnego, z wiedzą rozleglejszą niż wymagano, studenta.

– Spec – mówili o Profesorze młodzieżowi działacze – ale niestety, wczorajszy.

Profesor patrzył na terażniejszość wyrozumiale i z dystansu. Najchętniej rozmawiał z Oniem o najnowszych osiągnięciach fizyki, zapalał się wtedy i szybko w podręcznym notatniku wypisywał równania i wzory. Opowiadał o tajnym nauczaniu podczas okupacji i swojej drodze do nauki. Był chłopskim synem i cechował go upór i głęboka wiara w Boga.

– Przetrwąć – mówił cicho, kaszląc astmatycznie – przechować najważniejsze wartości i nie dać się zdemoralizować.

– Czyli bezpieczny azyl, spokojne sumienie i nic więcej! – unosił się Onio.

Był bezsilny. I zagubiony. Cierpliwości dla stanowiska starego Profesora też mu nie starczało. Czekał na coś. Jakby jeszcze nie przyszedł jego czas. Nie wiedział na co czeka. Ale miał nadzieję. Od pewnego czasu pojawiały się przecież symptomy zmian. Coś trzeszczało i rysowało się w spoistej dotąd budowli. Coraz wyraźniejsze sygnały. To spotkanie z Olczakiem w tramwaju. Kulawy Olczak był lekko pijany. Pracował w straży przemysłowej jako komendant. Nosił mundur obciśnięty szerokim pasem z pistoletem. Z upodobaniem kontrolował swoje odbicie w szybie.

– Osobiście nie narzekam – wyznał. – Tylko ogólnie... – rozejrzał się i dodał szeptem: – Popatrz, popatrz... Ten Stalin... Na rękach go nosiliśmy... Jak z jajkiem... A to taki.. – nie do końca.

Przypomniał sobie Onio dzień śmierci Wielkiego Nauczyciela. Syreny, które wyły rozdierająco. Zastygły tłum na ulicach. Zapłakana twarz koleżanki z Zarządu Uczelnianego. Smutne, ściągnięte żalobnie twarze profesorów, studentów. I teraz to zaskoczenie. Upadek mitu Wielkiego Nauczyciela. Szepczą działacze, szepczą wszyscy. Zrazu tylko szept. Aż wreszcie głośno o tym już mówią wszyscy. Z pasją i oburzeniem. Ta dobrotliwa twarz z portretów. Wszędzie ta twarz. I naraz zanikać zaczyna.

– Jeden zero dla mnie – podsumował Onio z pozorną niefrasobliwością. Kpić poczynął sobie coraz jawniej. W dzień 1 Maja wymówił się od niesienia transparentu.

– Ściągną nadwerężone – tłumaczył z dwuznacznym uśmiechem. Napotkał uważne spojrzenie Działacza. Mrugnął.

W parę dni potem wracał z Elżbietą z ćwiczeń. Był ciepły wiosenny wieczór. Szli parkiem. Wieczór pełen westchnień, chichotów w krzakach. Odurzająca pora. Usiedli na ławce. Objął Elżbietę. Całował coraz łapczywiej. Ale ona siedziała sztywne, naprężona.

– Daj spokój – odsunęła się.

– Elżbieta! – zdziwił się Onio.

– Martwię się – powiedziała po prostu. – Coraz gorzej gadają o tobie.

– Bzdury – próbował bagatelizować Onio. – Co mi mogą zrobić?

– Mogą! – Elżbieta chwyciła go za rękę. – Czy myślisz, że są aż tak ograniczeni i nie rozumieją twoich kpin?

Onio ciągle jeszcze starał się nie przyjmować do wiadomości tego, co powiedziała Elżbieta. Ale już ten wiosenny, beztroski wieczór zmienił swój charakter. Noc też. Nie mógł zasnąć. Począł go nękać pewien obsesyjny motyw. Zebranie właśnie. Cały jego rok. Otwarte zebranie związku młodzieży. Prezydialny stół okryty czerwonym płótnem. Referuje przewodniczący. Litania zarzutów. Zarzuty obejmują wszystko. I to o czym sądził, że było jego wyłączną tajemnicą. Więc i napis w toalecie. Jest również egzaminator z marksizmu – leninizmu. Dokładnie odtwarza przebieg zdarzenia. Są też tacy, którzy gdzieś na uboczu słyszeli wiele jego

powiedzonek i żartów. Kolejno wstają. Podsumowania dokonuje płomienny Działacz. Patrzy na niego zimno, bezosobowo jak na przedmiot. I wreszcie to pytanie: – Czy wykluczyć i usunąć? – Czysto już retoryczne. Las rąk. Patrzy Onio. Rozgląda się. Jest Elżbieta. Więc szuka w jej twarzy oparcia. Elżbieta odwraca głowę. Taka to była huśtawka wyobraźni.

– Bzdury! – zapalił nocną lampkę.

Znów zgasił. I znów niepokój. Tym razem budynek Studium Wojskowego. Zrzucają drelichy, podkute buciory. Chorąży Kłóś podchodzi do jednego z nich. Nawet nie znał go. Z innego wydziału. Tylko razem mieli wojskowe zajęcia.

– Prosi was dowódca kompanii – mówi półgłosem chorąży Kłóś. Tak patrzy jakoś. Tamten odchodzi. I widzieli z okna jak na podwórzu wsiadał do czarnej cytryny. Dwaj faceci w płaszczach z dwóch jego boków. Już nie wrócił.

Mówiono później: – Był w podziemnej organizacji. Stara sprawa. Sprzed studiów. Ale i tak doszli do tego.

To nastąpiło rok temu po powrocie ze strzelnicy na Bielanach. Dokładnie 21 marca. Zapamiętał Onio tę datę. Była to noc pełna strachu. Ten strach nie był ze sfery historii jedynie. Elżbieta miała rację. Otrzymał wezwanie do zarządu wydziałowego Organizacji. Oficjalnie, bez słowa komentarza wręczony świstek. Ciekawe spojrzenia kolegów. Obracał papier w palcach.

W sukurs przyszła historia. Prognozy ojca okazały się realne. Nastąpił czas gwałtownych wstrząsów. Ten nastrój zelektryzował również uczelnię. Odbywał się akurat wykład profesora znanego przede wszystkim z nieprzejeźdźnianych wystąpień na wiecach i akademiach. To właśnie Onio krzyknął wtedy zapiekłym z długo hamowanego gniewu głosem. – Tak jak mówiło się dotąd: uczeni, lokaje imperializmu, czy nie należy teraz powiedzieć o was panowie: uczeni, lokaje stalinizmu! Co za różnica? – zapytał jeszcze z szyderstwem.

Chciał mówić dalej, stropił się jednak, machnął ręką, usiadł. Powstał tumult. Klaskali i tupali wszyscy. I ci do niedawna najbardziej zaciekli, pozbawieni rozterek. I ci zawsze bierni, obojętni, znużeni. Wtedy to przez chwilę zaświtała w Oniu niewiara do tłumu, bezwolnego i ślepego podczas wszystkich takich wstrząsów. A nawet współczucie dla milczącego bezradnie wykładowcy. Tylko z satysfakcją podarł wezwanie do zarządu wydziałowego. Nie był zadowolony ze swego wystąpienia. Kac. Ale mało miał czasu na refleksje. Dzień po dniu następowały wydarzenia budzące powszechny entuzjazm i uniesienie.

Wkrótce potem ta scena w małej, obskurnej knajpie na praskich peryferiach. Wybrał się tam z kolegą. Więc pili na stojąco w tym brudnym wnętrzu z zaciekami na suficie, oparci łokciami o blat bufetu, wśród węglarzy, rzemieślników, handlarzy z bazaru, robotników z pobliskiej fabryki i innych stałych bywalców tego miejsca, włóczęgów i podejrzanych indywidualistów bez określonego zajęcia. Wrzask, bełkot i brzęk kufla, szklanek, butelek. Zwykła atmosfera takiego miejsca. Naraz rozległ się głos z radiowego pudła zawieszzonego nad półkami z różnokolorową baterią butelek. Bufetowa nastawiła na cały regulator. Głos zapanował nad wrzawą. Był to głos nowego przywódcy państwa. Cisza zapanowała w tym brudnym, zatłoczonym wnętrzu. Głos z tego obciążonego szarą materią pudła, zdarty i wiecowy – jak objawienie dla tych nieskorych przeciw do uniesień ludzi. Nowy przywódca obiecywał lepsze, inne życie. Ostro rozprawiał się z przeszłością. Piętnował przemoc i bezprawie. Przyszłość miała mieć ludzkie, sprawiedliwe oblicze. Krzywdy i cierpienia zostaną odpłacone. Skończył nowy przywódca i cisza zapanowała. Cisza zakłócona jedynie leciutkim sykiem powietrza ulatującego z beczki wypełnionej piwem. Za chwilę jak wybuch zbiorowy toast za zdrowie i pomyślność nowego przywódcy. Roześmiane twarze, obejmują się ludzie.

– Niech żyje! Niech żyje! – huczne i spontaniczne, wypełniło całe wnętrze.

Tylko ci dwaj, umorusani czarnym pyłem, chyba węglarze, bardzo pijani i zajęci sobą, nic z tego nie usłyszeli. Nie dotarło do nich przemówienie, ani toast na cześć nowego przywódcy.



Naraz otoczyła ich wroga, próżnia. Ocknęli się. Popatrzyli i ogarnął ich niepokój. Zewsząd zimne, skupione spojrzenia. Więc choć nie wiedzieli zupełnie w czym rzecz, szybko podnieśli swoje szklaneczki. Ale było już za późno. Nie zostali przyjęci do kręgu zbiorowego braterstwa.

– Tym coś nie pasuje jakby – ktoś powiedział przeciągając słowa.

Uciekali chyłkiem niczym szczury, a razy, jakie spadały na nich, pięści i kopniaki stały się wyrazem jednomyślnego potępienia. Tłum wtedy potrzebował ofiar. Onio ochłonawszy później na ulicy, pomyślał o tych dwóch Bogu ducha winnych pijakach, którzy przeciskali się przez wrogi tłum, ukrywając twarze w ramionach. Bito ich i opluwano.

– Ludzie, za co! Za co! – zawadzili tamci.

Równocześnie sam przecież brał udział w tej zbiorowej dintojrze. Krzyczał, pluł i bił.

– Głupio – wyrwało mu się głośno. Wstyd w wyniku tego zastanowienia.

A jego kolega, spokojny, nieskory do uniesień prymus, powtarzał z satysfakcją: – Ale im daliśmy wycisk, fajnie co? – Zaraz spojrzął na zegarek i pośpieszył Onia: – Szybciej, w naszej auli ma być wiec.

Czas był naładowany wydarzeniami. Biegali i krzyczeli ludzie. Biegał i krzyczał jak inni Onio. Czy wierzył? Sam nie wie dotąd. Upajał się po prostu nagłą swobodą. Ale bywały też momenty niejasne. Jak zupełnie inne oświetlenie tego samego miejsca. Powrót wujka z wieloletniego pobytu w Rosji. Radość i podniecenie w domu. Późny wieczór. Wuj moczy nogi w miednicy. Widok jego nóg. Opuchnięte, sinawe banie pozbawione normalnego kształtu. Siedzi wuj i wolno przesuwając palcami w wodzie. Stęka. Domownicy wokół niego. Wuj nie wyrażał żadnej radości. Był apatyczny i milczący. O pobycie tam w ogóle nie chciał mówić.

– Nie wolno – zaszeptał tylko.

– Wypalili go do reszty – powiedział wtedy ojciec. Bo ile czasu może być w człowieku ogień?

„Krzywdy i cierpienia zostaną odpłacone” – przypomniał Onio słowa nowego przywódcy. Czy to można odpłacić w ogóle?...

– Zrehabilitują, dadzą odszkodowanie – powtarzał wuj to co mówiono i machał ręką. – liitam. – Jadł tylko i jadł bez końca. Tym cieszył się najbardziej. I powtarzał z upodobaniem opowieść jak to pracował w „chlebozeczce” przy dzieleniu racji dziennych dla obozu. Chleb trzymali nad parą, pęczniał, zwiększała się jego waga i w taki sposób dla siebie mieli więcej.

– To była szansa... Jak z nieba – cieszył się wuj. Nic więcej nie mówił. Zresztą Onio nie chciał pytać o nic. Bo raz właśnie powodowany młodzieńczą niefrasobliwością dopytywał się wuja dosyć uporczywie, czy żadnych szans ucieczki nie było stamtąd. Wuj tylko wzruszył ramionami, aż ożywił się nagle, popatrzył przeciągle na Onia i powiedział: – „Szczitajetsja pobieg... Szag w prawo... Szag w lewo, primumaju oruzja bez prieduprieżdjenja...” Rozumiesz? – zapytał.

Onio kiwnął głową.

Wuj ręce przed siebie wyciągnął. – Tylko gdzie uciekać? Tajga bez końca, zdechniesz i nigdzie nie dojdiesz... – Przymknął oczy, stopy w miednicy znieruchomiały.

Onio też popadł wtedy w dziwny stan. Niemoc, drętwość. Przykre to. Zupełnie obojętne. Wyszedł przed dom. Niebo było jasne, błękitne. Jesienne kolory drzew też czyste, pogodne. Ulicą szli ludzie. Uśmiechnięci, beztroscy. Ojciec kopał ogródek. Onio twarz miał zamysłoną.

– A jednak gniecie – powiedział jakby do siebie.

Ojciec wsparł się na łopacie i popatrzył na syna. Ale były to zanikające szybko ciemne plamy na tle powszechnej jasności. Jeszcze ten kolega z klasy maturalnej, Mysikrólikiem na-

zywany. Drobny, szary i gorliwy we wszystkim do przesady. Nie lubiany raczej. Traktowany lekceważąco, nawet ze wzgardą.

– Lizus – mówiono o nim.

Nie chciał nigdy podpowiadać.

– Nie wolno – mówił krótko.

I on właśnie, Mysikrólik, podszedł ukradkiem po lekcjach do Onia, rozejrzał się strachliwie i zaszeptał: – Oni obserwują cię, tylko czekają, a mnie kazali też... – I urwał zaraz. Spłoszyły go kroki za węglem. To był gest. Ludzki, uczciwy gest.

Wzruszył się wtedy Onio. Chciał biec za nim. Równocześnie był zdumiony. Mysikrólik zdobył się na to! I teraz w tych hucznych, pulsujących treścią jesiennych dniach spotkali się znów. Mysikrólik nie zmienił się nic. Taki jak zwykle. Wzrok miał zgaszony, nijaki. Ścisnął Onio jego dłoń z wdzięcznością. Nareszcie mógł naprawdę podziękować. Tamten wyraźnie zażenowany.

– Ty jeden wtedy – mówił gorąco Onio. – Dlaczego? Przecież miałeś takiego pietra...

– Miałem – przyznał wstydliwie Mysikrólik. – Ale taka głupia sprawa... – zawahał się – kapować... – Nagle ożywił się. – Tylko – poprosił natarczywie – nie mów o tym nikomu. To mi może bardzo zaszkodzić... Rozumiesz... Na przyszłość.

– Czy ty oszalałeś! – zdumiał się Onio. – Przecież przyszłość nie będzie taka!

– Możliwe – powiedział Mysikrólik. Nie wyglądał na przekonanego. Machnął ręką.

Ale to były jedynie epizody. Tonęły prawie bez śladu.

Te grupki, grupy i zbiegowiska ludzi, pogrążonych w zażartych dyskusjach. To powszechne oczyszczanie się z przeszłości. Strąceni możnowładcy. Nowi trybuni, którzy przyszli znikąd. Zmartwychwstałe po tylu latach poczucie sprawiedliwości.

Ta żywiłowa potrzeba prawdy. I odrodzona nagle rola gazet, tygodników. Te redakcje pism młodzieży, pełne gwaru, stukotu maszyn i kłębow dymu. Namętne polemiki i debaty, sprawozdania i propozycje. Pochyleni nad papierami publicyści i reporterzy. Ludzki, zwykły język ich rozmów, myślenia i pisania. Precz wyrzucono fasadowe ogólniki. Każde słowo, zdanie opukiwano podejrzliwie... Te delegacje zewsząd zjeżdżające do redakcji. Kombinezony, drelichy, mundury i cywilne stroje. Stał Onio w ciemnym korytarzu prowadzącym do takiego redakcyjnego pokoju, pełnego dymu, stukotu i gwaru. Wdychał łapczywie tę gazetową, bałaganiarską atmosferę. I nawet zazdrościł tym młodym dziennikarzom, wybiegającym gdzieś z plikami papierów w dłoniach, zadyszczanym i roztargnionym. Któryś z nich zapytał w przelocie: – Kolega z rezolucją czy z jakimś materiałem? – I strachu naraz nie było. Mówili ludzie co myślą. Mały, obdarty człowieczek w żołnierskiej rogatywce, przedstawiał niezdarnym, chropawym językiem swoje krzywdy: – Zamkli... Tłukli... Za nic... Jeszcze siedzieć cicho kazali... To teraz przemawiać chcę pełnym głosem... Pytam ci ja: Dostyc już tego, szlus czy nie?

Burze oklasków. Podrzucają go do góry. Jedną ręką macha zamaszycie, drugą przytrzymuje swoją rogatywkę.

Albo te pochody, które zrywały się nagle jak orkan. Rosnący szybko tłum, domorosły przywódca, już sztandary i hasła, pieśni, przeważnie – Jeszcze Polska – Nie rzucim ziemi – Boże coś Polskę.

I idą, idą. Już płynie rzeka, wypełnia chodniki, jezdnię; podąża przed siebie. Popatrują niepokojne gapie. Mężczyźni, kobiety, dzieci.

– Co się dzieje?

– Gdzie idą?

– O co idzie?

Przyłączają się wszyscy. Cywile, żołnierze... Starzy, młodzi... I ojciec Onia ożywiony jak nigdy dotąd. Mówił też często o ludziach przegranych, odartych z wszelkich złudzeń i pozbawionych swoich bogów tą nawałnicą.

– Po potopie... – rozmyślał głośno – starzy komuniści... A jednak żał mi ich... Pokazał jednego. Pracował z nim kiedyś. Chudy, drobny mężczyzna o ptasiej twarzy. Wymienił z ojcem chłodny ukłon

– Zobacz! Całe życie – powiedział ojciec – od szczeniaka... bibuła, Hiszpania, Rosja, wsadzili go, potem puścili i ciągle to samo...

Tamten szedł ostrym, równym krokiem. Wyprostowany jak żołnierz na paradzie. Dumny – patrzył za nim ojciec.

Biegał też Onio. Z pochodu na wiec, z redakcji na uczelnię, z uczelni do fabryki. Podpisywał rezolucje, protestował, klaskał i groził. Takie to było miasto, tętniące życiem do późna w noc, ogołoczone z dawnych, tyle lat panujących haseł, sloganów i portretów.

W tym wszechogarniającym wiecowaniu, skandowaniu i bieganiu spotykał również Działacza z uczelni. Tamten zrazu wstydził się wyraźnie. Opuszczał głowę, peszył się i czerwieniał. Aż raz chwycił go za rękę.

– Miałaś rację – powiedział – byłem ramieniem tylko, pięścią, pałką... I ta moja ślepotą, tyle krzywdy, kłamstwa... A ja nic, ohydne? – Oczy mu płonęły tym samym ogniem co wtedy. Zapamiętała bebeszył swoją przeszłość. – I rozumiałem wszystko – dodał – tego pieska, o którym opowiadałaś. Tę przypowieść o rodzicach też. Długo o tym myślałem. Uznałem cię za szaleńca, biednego szaleńca. Odczuwałem litość po prostu...

– Uważaj! – przerwał Onio, natchniony olśniewającym ostrzeżeniem – żebyś w nowych bogów ślepo nie wierzył.

Spotykali się często. Działacz znów w pierwszym szeregu. Jego natura pełna energii i potrzeby przewodzenia znów znalazła ujście i na zgromadzeniach młodzieży mocno dźwięczał jego szczerzy, pełen zapału głos. Nie oszczędzał siebie i nie ukrywał tego co robił w przeszłości. Rozumiano go. Był przecież młody.

Tylko raz zdarzył się pewien przykry incydent. Ktoś przeciskał się przez tłum. Obcy jakiś. W ich wieku. Dotarł do Działacza. Chwilę stali naprzeciw siebie. Tamten trzepnął go z rozmachem w twarz. Raz, drugi. Donośne klaśnięcia. Działacz nie wykonał żadnego ruchu. Nic. Stał i milczał. Więc rzucili się do tamtego. Bić go chcieli.

– Puście go! – zawołał przenikliwie Działacz.

Popatrzyli zdumieni.

– On mnie pamięta z dawnych czasów – powiedział Działacz – nie dopuściłem go do matry.

– Masochista! – zaśmiał się Onio. – Może i ja ci dołożę?... – Ale śmiech to był wymuszony. Żart też. Groteskowe i wstrętne wydało to mu się zarazem. Nie rozumiał Działacza. Coś ich jednak dzieliło uparcie. I jak szybko powiedział: z dawnych czasów...

Podobnie wyglądało z tym zapędzonym uciekinierem w sobotni wieczór na pustym placu za domem towarowym. Wracał Onio z zajęć na uczelni. Dzień był intensywny. Wymagał decyzji. Chcieli go koledzy do aktywności społecznej wciągnąć. Wyłaniano komitet, ktoś rzucił jego kandydaturę; zaaprobowano jednomyślnie. Ale odmówił stanowczo.

– Do kierowania nie nadaję się, niestety – powód, który podał, nie był zupełnie szczerzy. Czuł to. Więc żarcik jeszcze dorzucił. – Liberala i indywidualista ze mnie.

Miał przecież wyraźną inklinację do działań społecznych. Jeszcze od szczeniackich czasów, kiedy jako harcerz-wywiadowca podjął się wygłoszenia cyklu pogadanek o historii skautingu i Baden-Powellu, Andrzeju Małkowskim i Tadeuszu Strumille, założycielach polskiego harcerstwa. Cieszyła go pełna ciekawość cisza wśród zebranych wokół ogniska chłop-

ców. Potrafił mówić przekonywująco, żywo i barwnie. Cieszyła go wtedy rola przewodnika, nauczyciela. Może odziedziczył to po ojcu, starym działaczu P.P.S. Może wuj? Ten uparty wielbiciel marszałka Piłsudskiego i rządów silnej ręki, który nosił pięcioletniego Onia na rękach i powtarzał: – Kardynałik, generalik...

– Co ty wygadujesz? – obruszał się ojciec.

– Na pewno będzie kimś – odpowiadał wujek z niezmałym spokojem.

W każdym bądź razie (porzucając szukanie przyczyny) te porywy do działań dla dobra ogółu nie były mu nigdy obce. Ale tym razem odmówił. Podejrzliwość, obawa o własną niezależność, brak zaufania. Nie czuł się jakoś na siłach, bał się ustępstw. To na pewno. Więc tylko bezradnie rozłożył ręce. Zawstydzony nieco. A też w przemówieniu jednego z nowych przywódców, którego wysłuchali na początku zgromadzenia, podejrzanе wydało mu się to zbyt częste nawoływanie do rozwagi: – Towarzysze, należy postępować rozsądnie, musimy na razie wstrzymać się i zastanowić, na obecnym etapie nie należy działać zbyt pochopnie. – Zapamiętał te słowa. Powtarzał i wcale nie był co do słuszności tego przekonany. Ten porywczy okrzyk z głębi sali: – Nie należy zatrzymywać się w połowie drogi! – był jego głosem.

Następnie rozmowa z Profesorem. Też dziwna. Jego sceptycyzm, powściągliwość w wyrażaniu ocen.

– Młody kolego – powiedział Profesor z naciskiem – trzeba na pracy naukowej skoncentrować się wyłącznie, szkoda pana do czego innego... Wyłącznie, podkreślam.

Ciężki to był dzień. Czuł się rozdarty, pełen zastanowień i wątpliwości. Najmilszy w tym dniu spacer z Elżbietą. Elżbieta dumna teraz z niego za tę samotniczą odmienność postawy w niedawnych czasach.

– Dlaczego odmówiłeś udziału w Komitecie? – I ona też zdziwiona.

Odprowadził ją pod dom i wracał. Doszedł do tego placu za C.D.T.–em. Posłyszał tupot kroków i krzyki. W pustce nocnego miasta zabrzmiały niezwykle donośnie. Zatrzymał się z zaciekawionym. Na placu wpadł mężczyzna w skórzanej płaszczu i kapeluszu Potykał się i dyszał. Za chwilę grupa mężczyzn dopadła uciekającego.

– Ubek! – krzyczeli – Ubek!

Tamten próbował bronić się niezdarnie. Trzepot jego rąk. Upadł. Jęk. Przekleństwa. Sygnał policyjnego gwizdka spłoszył napastników. Na pustym placu pokurczony jak łachman kształt. Onio nie pomógł leżącemu. Oddalił się. To chyba nienawiść, zastanowił się nad tym. Ale wyrzutów sumienia nie miał żadnych. Brzęk kluczy, zgrzytają podkute buty, żółte, nigdy nie gasnące światło odrutowanej żarówki na suficie i ten głos: – Na przesłuchanie! – który powodował zwierzęcy strach w oczach zrywających się z prycz aresztantów... – takie miał skojarzenia. Wtedy pomyślał o swoim wzorcu z gimnazjalnych lat, Marianie G. Spotkał go przypadkiem pod kinem. Marian G. spłoszył się wyraźnie. Ale Onio nie odczuwał żadnej nienawiści, nawet niechęci. Tylko ciekawość. Zimną, zachłanną ciekawość poznawczą. Więc zachował się całkiem zwyczajnie. – Cześć stary, kopę lat! – I poszli na wódkę. Marian G. był w śmiesznym, białym bandażu spowijającym głowę. Usuwał akurat kaszaki. Wódkę pił łapczywie. Silna potrzeba zwierzeń. Zgorzkniały i nienawistny. Przeklinał swą przeszłość.

– Oszukali – mówił – do brudnej roboty najęli. – Przeklinał teraźniejszość: – Też sam gnój. Tylko mniej krwi. Popuścili temu bydłu... – Nie wierzył w przyszłość. – Co może wyniknąć dobrego? Nic! Pragnienie bliżej nieokreślonej mściwości w nim.

– Jeszcze bym pokazał – syczał przez zaciśnięte zęby. Bez zainteresowania przyjął również do wiadomości, że Onio studiuje i myśli o karierze zawodowej. Coś tylko zamruczał. Ożywił się natomiast, opowiadając o swoim zwierzchniku z urzędu. Śmiał się długo i brzydko, pełno srebrnych zębów w ustach.

– Mój szef to dopiero ma mojra – mówił. – Chła na umór. Tylko chła i czeka. A jak się uchła, to na czworakach łązi i szczeka jak pies.

– Dlaczego? – zdumiał się Onio.

– W robocie zbyt wyraźnie przesadzał i chyba pójdzie siedzieć – wyjaśnił Marian G. – To i za wariata woli być.

Marian G. Brudny i ciemny kawał życia. Jak upiór przeszłości. A tak górnice, ostro zaczął, kiedy na pamięć uczył się niegdyś zyciorysu Dzierżyńskiego. – Feliks Edmundowicz... – mógł mówić godzinami.

– Przynajmniej tej bezpieki już nie będzie – zauważył Onio, unikając patrzenia na jego twarz.

– He, he, he! – Marian G. poklepał go protekcyjnie po ramieniu. – Nie bądź frajer. To zawsze musi być. Inaczej ludzie do reszty się rozbestwią.

– W takim razie ty... – zapytał ostrożnie Onio – w tych kartotekach, no, służby bezpieczeństwa... choć niby zwolniony, ale chyba ciągle jesteś... Prawda, w rezerwie, powiedzmy?

Twarz Mariana G. nagle stężała. Dopiero po chwili znów skrzywił się w brzydkim uśmiechu. – Zgrywus z ciebie.

Opróżnili butelkę i rozstali się nie wymieniając swoich adresów. Ten wyrazisty, ohydny śmiech Mariana G., chwilami żaloszny, jakby resztkami sił... Więc takie wątpliwości dopadały zniecka.

Najbardziej dramat z Węgry. Krew, coraz więcej krwi. Węgry prześladowały nieustannie. Głosy sceptyków teraz coraz częściej: – Zobaczycie, u nas też ureguluje się wszystko, docisną, zgnoją, zobaczycie, ani się nie obejrzymy.

Albo rozważnych: – Trzeba spokojnie, trzeba zastanowić się, wyważyć, nie możemy się zbyt daleko posuwać, bo też nam krwawą łaźnię sprawią, pamiętajcie!

Wtedy Onio znów widział twarz Mariana G., pokurczoną w brzydkich grymasach i wziętą. Duszo znów.

Burzliwy rytm życia, uczelni, gorące debaty kolegów, wiara Działacza, czułość Elżbiety, stary Profesor... Na nic to. Wątpliwości zarażały goryczą, a nawet bezsilnością. Włóczęga po mieście pomagała trochę. Dawała zmęczenie. W samotności powracała wiara. Wątpliwości stawały się nieważne, śmieszne i gołosłowne. W samotnej włóczędze znajdował najlepsze argumenty przeciw pesymistom, cynikom i malkontentom. Rozprawiał się z łatwością. Szydził również z najbardziej zawsze niepokojących go prognoz ojca.

– Popuścili... – powtarza ostatnio ojciec. – Więcej powietrza dla lepszej regulacji. I nic ponadto. Stop. Rozpaprany śmietnik.

Stary, zmęczony człowiek. Przebrane życie. Oceniał pobłażliwie postawę ojca. Nocne miasto. Beztroski bełkot pijaków. Upiorne prostytutki na rogach. Zakochani. Czasem dorozka. Nocne łażenie. Bardzo to lubił. Wracała równowaga. Miejski pejzaż tamtych lat. Zawsze uciekał bezwiednie od nowej, powstałej na gruzach zburzonego miasta zabudowy. Od tych monumentalnych gmachów z płaskorzeźbami robotników i robotnic – gigantów. Od tych rozległych na wszystkie wiatry wystawionych placów z obeliskami i posągami. Od tych ulic z rzędami ponurych jak koszary bloków mieszkalnych Uciekał więc do tego skurczonego już rezerwatu dawnych, secesyjnych kamienic, studziennych podwórek z kapliczkami i ruder na pół zniszczonych, z czarnymi oczodołami okien. W tych resztkach starych murów skazanych na zagładę czuł się najlepiej. Dlatego jego oazą była brudna, obskurna, ginąca Praga. To miasto po drugiej stronie Wisły, oszczędzone przez wojnę, a więc jakby niezmiennie. Z tą enklawą za rzeką ma również związek finał jego młodzieńczego uniesienia. Był to wieczór. Ostatnie zgromadzenie publiczne na placu przed domem akademickim. Jeszcze docierały do zebranych głosy mówców. Jeszcze entuzjazm wybuchał gorącymi owacjami. Jeszcze domagano się i protestowano. Ale już z ciemności wynurzyły się kolumny policyjne, szczelne jak mur i

zdecydowane. Już w ruch poszły pałki. Urwały się w połowie głosy mówców. Tłum zadygotał jak osaczone zwierzę gigantycznych rozmiarów. Dygot wzmagął się. Kolumny policyjne zbliżały się krok po kroku. Powoli, nieustępliwie. Atmosfera napięcia wzrastała. Wreszcie tłum począł pierzchać we wszystkie strony. Strumieniami wlewał się w sąsiadujące z placem ulice. Tam wyłapywano uczestników zgromadzenia i ładowano w okryte brezentem ciężarówki. Płacz kobiet. Krzyki bitych mężczyzn. Akcja przebiegała sprawnie. Przywódcy na podwyższeniu po środku placu zostali samotni i opuszczeni. Schwytano ich w potrzask jak od dawna wytropioną zwierzynę. Onio miotał się wraz z innymi. W tym zamieszaniu zgubił się z Działaczem, choć na początku trzymali się razem. Więc miotał się sam, poszukując drogi ucieczki. Wszędzie napotykał policyjne kordony. Wtedy zawracał. Gnał w przeciwną stronę. Wreszcie znalazł w tej sieci lukę. Uchylona brama, nie widać mundurowych, podwórze. Wpadł tam. Przesadził niewysoki mur, drugie podwórze. Wyszedł na spokojną, cichą ulicę. Aż zdumiał się tym spokojem. Martwym, obojętnym na wszystko. Oto skończyła się jego młodość. Miał świadomość tego faktu nieodwołalną. I przypomniał mu się stary woźny, sprzątający zaśmiecone korytarze w budynku uczelni. Podarte portrety, słowa i strzępy słów z niedawnych transparentów, gazetki ściennie, litery haseł, plakaty.

– Pomarnowali tyle – gderał stary woźny – a przecie może się to jeszcze przydać.

Stos papierów na końcu korytarza rósł i rósł. Pomyślał wtedy Onio: „Na nic to nie przyda się już”... Włóczył się po mieście. Musiał ochłonać. Wybierał ustronne uliczki, z dala od centrum. Dotarł do Wisły. Mostem przeszedł na drugą stronę rzeki. Stare mury, rudery, faceci w bramach, kobiety na ławeczkach przed domami. Chwilami wrażenie zatrzymanego czasu. Ciągłość i zasiedziałość, której nie znajdował gdzie indziej. Jego Praga właśnie. Azyl ostatni w tej chwili. Podążał główną ulicą tej prawobrzeżnej dzielnicy. Cisza już i noc. Wrogo zapatrzył się na radosną parę. Młodzi. Obejmują się. Szepczą i całują się. Po tym niedawnym doświadczeniu na placu Onio nie rozumiał w tej chwili miłości, pożądania ani żadnych innych jednostkowych radości i cierpień, które płyną przecież jak rzeka podziemna pod wszystkimi roztrząsami historii. Złorzeczył więc tej parze młodych kochanków. Zatrzymał się przed małym, rachitycznym drzewkiem, oświetlonym latarnią i ostentacyjnie zaczął siusiać. Przeciw tym zakochanym to zrobił. Nawet zgrzytu podkutyh butów nie usłyszał.

Dopiero głos: – Co wy! Tak w publicznym miejscu!

Już wiedział. Za nim stał milicjant.

– Pęcherz – odpowiedział Onio. – Ma swoje prawa. Ciśnie. „Milicjant... – powtarzał. – Milicjant...” – Zaraz – odpowiedział. – Już kończę...

Sprężył się cały i tylko pragnienie koncentracji w jednym, precyzyjnym ruchu. Żeby nie pomylić nic... Ale nadal pozornie niedbały, przygarbiony.

– Już, już, panie władzo – wytrząsnąwszy ostatnie krople sposobem podpatrzonym od szczywających na ulicy pijaków, niby to zatoczył się i obejrzał nieznacznie. Milicjant, barczysty, wysoki, gniewna mina, pasek pod brodą, jedna dłoń wsparta na palce przy boku, druga wsunięta za pas. Niecierpliwił się. Wtedy Onio obrócił się jak błyskawica. Chwycił milicjanta za ramiona, wczepił się palcami w sukno munduru. Pochyloną głową uderzył w jego brodę z półobrotu. Tak bili chłopcy z Piachów. Zapamiętał to jeszcze z dzieciństwa. W tych kilku sekundach rozległ się skowyt. Zobaczył Onio ogłupiałe oczy, trzepot rąk. Milicjant zwał się jak ścięte drzewo. Onio oddalił się powolnym, statecznym krokiem. Dopiero po kilku metrach wbiegł w przecznicę. Cieszył się. Szybkość tej akcji. Jej efektywność. Niezła rekompensata za niedawne, ślepe bieganie wśród zapędzonego tłumu. Ale biegł coraz szybciej. Bo równocześnie narodził się w nim strach. Jeżeli dopadną? Więc skoczył w najbliższą bramę. Dalej podwórze z zielonym światłem nad figurą Matki Boskiej, następne podwórze, jeszcze jedno. Labirynt komórek. Wreszcie przez dziurę w parkanie wyszedł na ulicę. I wtedy posłyszał stukot kroków. Przywarł do parkanu. Serce biło jak oszalałe. Z ciemności wynurzył się męż-

czyzna. Zatrzymał się. Onio popatrzył na niego z napięciem. Był w cyklistówce, wypchanej gazetami, na kark opadały długie włosy.

– Rozumiem – rzekł tamten po chwili. – Gliny. Ale tu nie ma ani jednego. – Wyciągnął, papierosy. Poczęstował.

Onio odetchnął głęboko. Rozejrzał się. Cicho, i pusto. Tylko z tamtej strony rzeki widać było wieżę Pałacu z czerwonym światelkiem na końcu.

Nie podnosił słuchawki. Sygnał powtarzał się co kilka sekund. W ciszy mieszkania jak alarm brzmiał ten dźwięk. Wiedział kto dzwoni: Profesor. Dlaczego nie reagował? Na pewno sprawa jego stypendium. Dziś ostateczny termin. Przez tydzień uchylał się od decyzji. Powtarzał z rosnącym uporem: zastanowię się, muszę mieć trochę czasu do przemyślenia. Na takich unikach minął tydzień. Dziś ostateczny termin. Musi powiedzieć tak lub nie. Ponownie ten przeraźliwy dźwięk. Ogarnął go popłoch. Jednak nie podnosił słuchawki. Może wyłączyć? Śmieszne to. I nielogiczne. Od kilku już lat pracuje w Instytucie. Jego praca doktorska uzyskała wysoką notę. Kilka istotnych rozdziałów zostało przetłumaczonych i wydrukowanych w zagranicznych kwartalnikach specjalistycznych. Jest w trakcie przygotowywania habilitacji. Droga wzbijającej się gwiazdy. Tak mówią koledzy. Złośliwie i niezłośliwie. To są fakty. Jego kariera naukowa nie budzi wątpliwości. I zapamiętał ten radosny, figlarny uśmiezek starego Profesora, który zaprosił go do gabinetu tydzień temu dokładnie.

– Mam dla was interesującą nowinę, kolego – zaczął Profesor. Uczynił długą pauzę. Przedłużał moment zaciekawienia. Dozował napięcie.

– Uzyskaliśmy roczne stypendium w ośrodku badawczym w Stanach – podjął Profesor – jeden z najlepszych tego typu ośrodków na świecie przy uniwersytecie w Harvard – znów efektowna pauza dla podkreślenia ciężaru gatunkowego wiadomości. – Otóż wytypowałem pańską kandydaturę, przedstawiłem w ministerstwie i żadnych sprzeciwów nie czynią. Wydaje mi się, że należy podjąć starania w zakresie niezbędnych formalności.

Czekał Profesor na reakcję swego pupila. Zdumienie, radość, wdzięczność. Tak sobie musiał wyobrażać. Cekał i niecierpliwiał się. Onio wiadomość przyjął obojętnie. Sam był zdziwiony swoją reakcją. Szansa, na którą wyczekuje wielu. Wyjazd do Francji rok temu. Ilu kandydatów! Jaka zażarta walka między chętnymi! Jego tymczasem ta nowina wcale nie ucieszyła. Wręcz przeciwnie. Najeżył się obronnie.

– Co pan na to? – Profesor chrząknął zakłopotany.

– Ja! – ocknął się Onio. – Sam nie wiem, panie profesorze. Takie to nagle, nieoczekiwane. W każdym bądź razie, dziękuję, bardzo dziękuję! – Może za późno to przyszło? Nigdy dotąd nie wyjeżdżał na Zachód. Wiadomość tym większe powinna sprawić poruszenie.

– Dziękuję – powtórzył i dalej zbrakło mu słów. Na gwałt próbował wyrazić radość, wdzięczność, ożywienie. Nie chciał przecież sprawić przykrości staremu. Domyślał się, ile musiał Profesor pokonać trudności. Wyobraził sobie nawet ziemistą, ściągniętą twarz dyrektora Instytutu i jego argument. – Postawa polityczna... hm... postawa polityczna jednak.

Dyrektor, karierowicz i czuły barometr wszystkich zmieniających się prądów, traktował Onia z niezmienną podejrzliwością. Albo docent Błasiak... Jednak posłyszawszy dobrą nowinę od starego Profesora, zareagował przede wszystkim obronnie. Śmieszne to i dziecinne. Ten wyjazd skojarzył mu się w irracjonalny sposób z przegraną i rezygnacją. Opuszczaniem pola bitwy, nazwał to patetycznie. Jaki z niego bojownik? Gdzie jego pozycja? O co walczy? Od dawna już zaszył się w sanktuarium Instytutu, pochłonięty pracą naukową i szczelnie odizolowany od innych spraw. Pochłonięty swymi wykresami, równaniami; chłodny i sceptyczny, nieraz z satysfakcją stwierdzał: mam swój świat, nie zrani mnie już nic, oto moje doświadczenie, oto mój światopogląd. Gabinety i pracownie, sala posiedzeń rady naukowej, biblioteka gdzie księgozbiór nawarstwiał się od lat, ciemne korytarze o wyfroterowanej posadzce, spo-

kojny, uregulowany rytm. Jednak sanktuarium, mimo dokuczliwej obecności dyrektora, tego ogara o ściągniętej twarzy żołądkowca czy docenta Błasiaka. Skąd więc ten popłoch w nim? Tandetne obrazy, które odżyły w pamięci. Koledzy w Instytucie z Anglikami. Ta Francuzka, brzydka, niezgrabna, w okularach. A oni wokół niej w lansadach, potach językowych i nadziei. Ten szept w bufecie. Rozpoznał od razu kto mówi.

– Słuchaj stary, ona przyśle prywatnie zaproszenie i skoczyć będzie można... Niedokończony marzenie. Paryż i jego czary, cały tamten świat w niedokończonym szepcie. Nie chciał wyjeżdżać. Nie wyjedzie. Koniec. A jednak... Sprzeciw wobec szansy nielogiczny przecież w stosunku do jego postawy. Azyl, sanktuarium. Chłód. Spojrzenie z dystansu. Nic go nie łączy. Ostatnio nawet kontakty z ludźmi sprowadził wyłącznie do płaszczyzny zawodowej. Zastanawiał się nad tą redukcją życia towarzyskiego. Patrząc na swoich kolegów z czasów młodości, widział już jedynie obcych ludzi. Pograżeni w wirze zajęć; przygód, miłostek, interesów i kłopotów. Rozmienieni na drobne po prostu. Pożarci przez miłą codzienność. Zastanawiał się również nad swoją postawą. Czy nie jest jednym z nich?

– Uniesienia młodości – mówili pobłażliwie jego koledzy o zamierzchłej epoce ideałów, wiary, nadziei. Wzruszali ramionami. Uśmiechali się sceptycznie. Nazywali tamten czas daremnym trwonieniem sił i zdolności. Rozważni, dojrzały. W każdym posunięciu zachowywali się jak wytrawni gracze szachowi. Czuli się ich doświadczenie. Najchętniej uznawali się za realistów. Posługiwali się tym terminem w przeróżnych kontekstach.

– Trzeba realistycznie. Realizm jest bronią naszych czasów. Realizm dyktuje nam ustępstwa.

Z nimi miał rozmawiać? Jaką dadzą odpowiedź na jego rozterki, z wątplenia i goryczy? Zdumione milczenie, obłudna troska o jego nerwy lub pobłażliwe – „No, nie przejmuj się, wszystko bierzesz zbyt romantycznie, nie bądź naiwny”.

Może nawet przy najbliższej okazji powiedzą o tym docentowi Błasiakowi. Błasiak, strażnik zdrowia ideowego kolektywu. Nastął czas kiedy o sprawach najważniejszych nie uchodziło mówić. Było to w złym guście. Wzruszeniem ramion kwitowano podobne tematy. Nie miał Ono wspólnego języka z rówieśnikami. Czuli się wśród nich obcy i jedynie udawał pozory współżycia.

I tylko Profesora mógł pytać z zapalczywą bezradnością: – Dlaczego od wszelkiej władzy zawsze już wiać będzie dla mnie obcością? Kłamstwem i brutalnością przede wszystkim. Przemoc podstawą fikcyjnego dialogu ze społeczeństwem. Przemoc lukrowana humanitarną frazeologią. To tylko widzę. Głęboka nieufność i indiosynkrazja we mnie dla wszelkich jej oświadczeń. Wiem doskonale czym to przekonanie jest podszyte. Czyż nie jest to psie uczucie chłopca batożonego na pańskim? Człowieka zniewolonego. Może to przejaw mego zgorzkniałego usposobienia? Czy doświadczenia młodości mogą taką czarną smugą rzutować na wszystko? I ciągle we mnie takie przeczucie: Nieraz jeszcze władza obnaży swoje wilcze kły.

Przypomniał mu się pewien ormowiec, który kierował ruchem na rozwidleniu dróg za miastem. To rozwidlenie dróg w porze letniej stawało się niezwykle obciążone. Karawany samochodów ciągnęły nieprzerwanie w stronę kąpieliska nad zalewem. Starzec, ormowiec zajmował pozycję jak generał na polu bitwy. Obok niego inwalidzki samochód Velorex. Był więc inwalidą, ale czego mu brakowało, nie wiadomo. Poruszał się sprężysto i pewnie. W postawie stojącej tkwił na swoim posterunku wiele godzin. Oczy miał jastrzębie. Najmniejszą nieprawidłowość w ruchu samochodów wyłapywał natychmiast. Nawet kilka nieprawidłowości naraz... Wtedy się ożywia i przypuszczał szturm.

Władczym i niedbałym zarazem gestem przywoływał upatrzony samochód. Powoli wyciągał mandatowy bloczek. Krecja była zamknięta na ostatni guzik. Starzec ten samą krecją. Ono niegdyś jadąc samochodem, świadomie spowodował uchybienie w przepisach drogowych i chciał nawiązać rozmowę ze starcem. Bezowocny to był wysiłek. Nic oprócz mandatu nie uzyskał. Tylko wyobraźnia miała w tym przypadku nieograniczone możliwości. Jaki ten



starzec w domu po służbie? Może śmieszny dobrotliwy dziadziuś dla wnucząt? Pomiatany przez żonę. Przemyka się z kąta w kąt. Patrząc pod innym kątem, starzec stawał się postacią budzącą szacunek. Pełnił bowiem funkcję niezwykle użyteczną społecznie. Oświetlając to jeszcze inaczej, groźne obszary się odsłaniały. Bezwzględne oddanie, surowość i bezduszość ambicji wykonawcy. Władza!

Gdzie kończy się jej ślepe ramię, a zaczyna świadomy udział? Od najniższego szczebla poczynając, za pomocą tego pytania posuwać się można wysoko w górę. Wszyscy testowani reprezentanci władzy uchylają się przeważnie od świadomego uczestnictwa.

– Oni – odpowiadają – oni kazali. Oni powiedzieli.

Dociekliwość w tym przedmiocie inspirowała go do rozmaitych pomysłów. Od dawna zastawiał sidła na sąsiada z tego samego piętra. Mundurowy policjant, oficerskiej rangi, często nosił się po cywilnemu. Spotykali się w windzie, nieraz uchylali jednocześnie drzwi swoich mieszkań i zabierali butelki z mlekiem z wycieraczek. Tamten również kawaler. Sąsiedzka życzliwość spowodowała zbliżenie. Spotkali się wieczorem przy autobusowym przystanku. Policjant był lekko wstawiony. Zaprosił Onio sąsiada do restauracji. Tęgi męski ochlaj i wspólny powrót do domu już po bruderszafcie. Następnie zwabił go do swojego mieszkania pod pretekstem dobrze zaopatrzonej lodówki. Oto przebieg tego dawno upragnionego spotkania. Wylazł policjant z pancerza munduru, nieufnej powściągliwości i krzepy. Rozluźnił pas i zaczął mówić. W pierwszej fazie ciągle jeszcze był nadęty i pyszałkowaty. W drugiej fazie dominowały chytrość i egoizm w zwierzeniach. Mozolna droga do życiowej sytości. Niezłe warunki pracy, premie, dodatki, mieszkanie bez wieloletniego wyczekiwania. Płynnie cytował dziennik ustaw regulujący jego przywileje.

– Ze względu na wagę służby – podkreślił z satysfakcją. Wymieniał swoje tłuste kęsy, rozstawiając palce jednej dłoni, wielość tych przywilejów spowodowała konieczność użycia drugiej dłoni.

– Ja też przycisnąć mogę – zwierzał się ze swoich możliwości – raz jeden mówi: czy wiecie kto ja jestem, a ja go pałą po plecach raz za razem, żeby nie zdążył legitymacji pokazać, w razie komplikacji powiem: skąd mogłem wiedzieć kto to jest, czy na czole ma to wypisane. – W trzeciej fazie libacji domowej wystąpiły rozterki i niepokoje. Myśl niezależna z nagłą zakiełkować potrafi. Regulamin wyklucza podobną samodzielność.

– Wam cywilom to dobrze, więcej pyskować możecie, nawet jeżeli się wychylicie to często żadnych konsekwencji nie macie. Większy luz, was nie cisną z każdej strony. – Oczy miał po ludzku smutne.

– W cywilu też dużo teraz służby rozmaitej – zauważył Onio. Myślał o docencie Błasiaku.

– Informatorzy – przytaknął policjant.

Finalna faza tego posiedzenia poświęcona została marzeniom o innym życiu. Zwolnić się i zacząć inaczej. Bezradny stał się i płacziwy. Nic innego robić nie potrafi.

– Trzeba ludzi cisnąć – wyznał z rezygnacją. – Jak nie będziesz cisnął, to dopiero ciebie przycisną. – Z butelki bezpośrednio popijać zaczął. Wycie, rozpacz i udręka cechowały to opilstwo.

– Bij! – wołał – dobrze wiem kim jestem! Co mam robić, powiedz?

Pistolet wyciągnął z kabury. Rzucił na podłogę. Łzy mu pociekły obfite. Następnie usnął. Wtedy Onio jego pistolet schował pod poduszkę. Sam też spać się położył. Sen człowieka uzbrojonego. Pierwszy raz tego doświadczył. Rankiem policjant zerwał się z krzesła. Obmacał kieszenie. Ze zdumieniem spoglądał na pustą kaburę.

– Gdzie gnat! – zawołał.

– Gnat? – powtórzył Onio. – Co to znaczy?

– Broń! – wrzasnął tamten.

Onio śledził go spod przymkniętych powiek. Sąsiad popędził do swojego mieszkania. Nie było go długi czas. Wrócił jeszcze bardziej przerażony. Onio miał już dość tej zabawy. Nie był przecież sadystą.

– Aha, już wiem – powiedział.

Sięgnął pod poduszkę. – Wymachiwałeś tą pukawką. Chciałeś strzelać. – Policjant dziękował wylewnie. Choć podejrzliwe błyski zamigotały w jego oczach. Zapewne próbował rekonstruować wydarzenia pijackiej nocy. Odtąd ich stosunki wróciły do poprzedniego dystansu... Zachnął się Onio. Jałowość tych przypominanych zdarzeń. Idiotyczna penetracja przedstawicieli władzy na jej szczeblach najmarniejszych.

– Wilcze kły władzy! – Profesor uśmiechał się wyrozumiale. – Twoje przecucia, kochanku, banał to wprost. Jakie to przecucia? Mogę ci obliczyć z niewielkim odchyleniem prawo cyklu w układzie sprzecznych interesów. Sprzeczne interesy: władza, obce mocarstwo, ekonomika spętana bezsensownymi dogmatami i zwykli ludzie, ich życie, zarobki, potrzeby i temu podobne. W tym układzie rozpiętym na sprzecznościach monotonicznie powtarza się taki oto schemat: wspinanie się, tendencja zwykła, zastrzyki kredytów, apogeum, następnie bezwarunkowo jednak następuje załamanie, spłata kredytów, brak rezerw, bilans ujemny, konfliktowa sytuacja, trzeszczy cała budowa, zapadają się fundamenty. Właśnie fundamenty. Tu ciągle u podstaw błąd pokutuje – ucieszył się z odpowiedniego porównania Profesor. – Otóż Wtedy obnażają się te twoje zbyt poetycznie nazwane, wilcze kły... – spoważniał Profesor. – Miałkość i bzdura. Życie całe można strawić na tej nicości i bezcelowej szarpaninie. I nic z tego nie wynika. Żadnego sukcesu, satysfakcji. Tylko kłęski, żółć, smutek, nieodwracalnie już wypaczone widzenie świata i ludzi. Równocześnie ile zdolności, energii zmarnowanej bezużytecznie. Młody kolego... – mówił głosem twardym, rąbiąc słowa jak oficer komendę – naszą jedyną szansą jest rzetelny, sprawdzalny system wartości. W badaniach które prowadzimy nic nie można ukryć, opuścić, zafalszować. Nie otrzymamy wtedy wyników. Kryterium żelaznej logiki, prawda? Wywód zamykający się wzorem. Wzór sprawdzony w bezbłędnie działającej konstrukcji. Oto efekty naszych poszukiwań. Tylko to mogę panu, młody kolego, poradzić. W tym również kryje się inna szansa, znacznie szersza, uniwersalna. Przecież w ten sposób jesteśmy w ścisłym związku z całym światem, pokonujemy polityczne bariery.

Stary, ciągle żarliwy romantyk. Takim był Profesor. Przedstawiciel już zanikającej generacji szlachecko–intelligenckiej. Legiony i niepodległość. Socjalistyczne ideały i obrona praw człowieka. Piękna karta okupacyjna, dotkliwe represje w stalinizmie i ciągle niezachwiana wiara w zwycięstwo dobra nad złem. Trwały system wartości. Jego kapliczka. Cierpliwa służba dla postępu. Ciasny to i fikcyjny azyl. Przydeptany polityką. Każde działanie wypadkową wyrzeczeń i ustępstw. Haracz konieczny po prostu. Gorzkie poczucie własnej bezsilności. Profesor wybuchał nieraz z tego powodu. Sztuczne raje, wyspy, oazy na pustyni. Stary Profesor. Orzeł. Ptasi, suchy profil i głos pełen spokoju. Orzeł ze związanymi skrzydłami.

– Przechować, i uratować najważniejsze wartości – powtarzał Profesor. – Przekazać wstępującym pokoleniom.

Miałkość i bzdura. Tak powiedział Profesor. Myślał o tych co życie swe strawili w służbie zmiennych racji władzy.

Tego starego działacza spotkał Onio na ulicy. Nagle zmarniały. Zauważył Onia od razu. Ale czekał, wyraźnie czekał na jego ukłon. Ukłonił się. Działacz podbiegł do niego żwawo.

– Wielu teraz stroni ode mnie – wyjaśnił. Przyłgął natrętnie do Onia, dalekiego przecież od jego spraw i kłopotów. Może z tego właśnie powodu. Potrzebę mówienia miał wielką, aż kipiał od natłoku myśli. Błagalnym spojrzeniem prosił o cierpliwość.

– Wiem, wiem – gorączkował się, szukając ewentualnych argumentów przeciw zarzutom – wiem, ta nasza droga z samych pomyłek złożona, lecz naprawdę wierzyliśmy w to co robimy, szło nam o sprawę, wiem, krzywda z tego dla ludzi wynikała, jednak bezinteresowni by-

liśmy i ideowi... Tak rozpoczął się jego monolog, chaotyczny, najeżony dygresjami i urywanymi z nagłą wątkami. Stali na ulicy przy wystawie sklepowej. Jak z trudem wywnioskował Onio, zawile te ich sprawy, język również specjalny – był nowy kurs, zmiana linii, nowe wytyczne, a działacz wychylił się, wyraził odmienne zdanie czy też pozostał na dawnym stanowisku. Z tego powodu stał się od razu osamotniony. A może to wszystko przydarzyło się przez przypadek, pogubił się w komplikacjach politycznej gry, zbyt indywidualnie myślał lub odezwała się w nim atawiczna niezależna od wszelkiej gry ludzka godność i uczciwość. Usunięto go z wysokiego szczebla hierarchii. Wykopali, tak mówi się u nich, albo poszedł w odstawkę. W wyniku tych działań meandrycznych stał się żalonym rozbitkiem. Miotał się gorączkowo, chodził do swoich przełożonych, przedstawiał im własne racje i argumenty, pisywał memoriały, co najdziwniejsze, nie korzył się jednak, tylko z uporem uzasadniał swoją postawę i pytał – Dlaczego to ma być niesłuszne? Patrzono na niego zimno i obojętnie. Był już obcy.

– Tam na górze – mówił ten działacz za burtą – chyba jakaś frakcja rewizjonistów doszła do głosu, na pewno odchylenie, będą musieli to później prostować, znam się na tym, ja przecież dla partii kilkadziesiąt lat.

Przypierał Onia do wystawy i mówił nieprzerwanie. Zawile i mętnie. Ten ich język odwykł od wyrażania zwykłych ludzkich racji, nafaszerowany sloganami i martwymi pojęciami, tylko rzadko z martwej skorupy jego mowy wypryskiwały zwykłe słowa, świadczące o bólu i rozterce człowieka. Zapatrzył się w ohydne manekiny na wystawie sklepowej i prawie załkał. – Co krok zniszczeni ludzie, upiorny tłum, lata mijają, idzie niby ten sam człowiek a inny już, czasem trudno samemu rozeznąć się w sobie, tyle ciemności, po latach już wcale iść nie można, kręgosłup złamany, na czterech łapach, pełzaniem już tylko można się posuwać... Porzucił tę ledwo napoczętą refleksję o swoim losie i opowiadał o wizycie w komisji kontroli partyjnej. Dyskusja z towarzyszami, krytyka jego postawy, dawni przyjaciele nagle powściągliwi i dalecy. Zamilkł wreszcie zmęczony tą swoją sytuacją zawiłą, kaleką już nieuleczalnie.

– Coś panu jeszcze pokażę – nagłe uśmiechnął się.

Wyjął z portfela fotografię chłopca najwyżej dwudziestoletniego. – Syn – powiedział i oczy miał po raz pierwszy normalne. Pojawił się w nich radosny, ojcowski błysk.

– Jest marynarzem. Byłem u niego na statku. Tam panuje taka czysta, piękna atmosfera koleżeństwa i pracy. Znakomici ludzie. To wspaniały zawód, niezależny, tak z żywiołem w harmonii.

I w tym zapewne była tęsknota za życiem normalnym, jasnym, ludzkim celom podporządkowanym. Oddech orzeźwiający. Statek i syn. Odtrutka na jego mroczne, wynaturzone problemy. Długo patrzył na fotografię syna. Młodego marynarza, krzepkiego i uśmiechniętego szeroko, opartego o reling na tle komina, lin, dźwigów, szalupy.

– Lecz o niego też się boję – niepokojem zamigotały oczy działacza – żeby w związku z moją sprawą jakichś kłopotów nie miał.

Wzdrygnął się Onio. Jak po złym śnie. Zaszczuta twarz tamtego. Jego głos wibrujący histerią. Wyjazd! Wyjazd jako szansa. Z zaduchu na świeże powietrze. Nie cieszył się jednak. Może za późno to przyszło?

– W takim razie pozostaje wyjazd za granicę – przeszedł Profesor do kuszenia w tamtej pamiętnej rozmowie. Był przejęty nastrojem swojego ulubieńca.

– Zbyt wrażliwie reaguje pan na kolce tutejszej struktury. Zmęczenie, kochanku, brak odporności. Najbardziej realny będzie uniwersytet w Harvard. Mam tam kilku przyjaciół. Mój bliski kolega jeszcze z politechniki lwowskiej, wybitny autorytet, niedawno został *chairman*em wydziału. Sądzę, kochanku, że tam znajdziesz wreszcie prawdziwą możliwość na-

ukowej i ludzkiej swobody. Choćby sam język. W języku odbija się dusza narodu. Precyzyjny, jasny. Sam dla relaksu często zaglądam do ich literatury pięknej.

Uśmiechnął się zagadkowo. Sięgnął do szuflady biurka. Wyglądził arkusiki papieru zapisane starannym maczkiem.

– Oto analogiczna sytuacja – powiedział – list z za oceanu. Wyjechał i został. Też był moim studentem niegdyś. Czytaj. – List był treści następującej – „Zna mnie Pan Profesor dosyć dobrze. Jestem uczciwym i prawdomównym człowiekiem. Uważam również, że nie można nazwać mnie karierowiczem ani cynikiem w żaden sposób. Nigdy nie interesowałem się ideologią i jej rolą w naszym życiu, bardziej natomiast pewnymi regułami etycznymi, którymi winien kierować się człowiek bez względu na aktualną sytuację społeczno-polityczną. Na pewno jestem patriotą w sensie swoich powiązań narodowych i poczucia powinności ojczystych. Nawet dostrzegam w sobie dużą dozę pierwiastków sentymentalnych w tym zakresie. Z rozrzewnieniem wspominam wciąż tak samo żywo nasz krajobraz, ludzi, w ogóle tę trudną do określenia atmosferę polszczyzny. Status osobisty w kraju miałem dobry, żeby wymienić ten stosunkowo w młodym wieku uzyskany doktorat itp. Również moja specjalność tam w kraju podlegała małym ciśnieniom zewnętrznym czyli wpływom pozanaukowym. Reasumując byłem w naszym układzie stosunków na wysokim szczeblu, zarówno pod względem spełnień materialnych jak i ambicjonalnych. Mogę przytoczyć jeszcze inne dowody moich ścisłych powiązań z krajem. Brat, siostry, co nie jest bez znaczenia, byłem bowiem z nimi w serdecznych stosunkach. Tutaj jestem bardzo samotny. Stan ten pogłębia znana zapewne Panu Profesorowi moja nieśmiałość i trudność w nawiązywaniu ściślejszych znajomości z ludźmi. Zresztą konstrukcja psychiczna ludzi na tym kontynencie, ich doświadczenia, mentalność są dla nas Polaków szczególne, obce, utrudniając obiektywnie możliwość wzajemnego zrozumienia się. To wszystko jeszcze bardziej pogłębia moją nostalgię, doprowadzając wręcz do apoteozy przeszłości. Nieraz wspominam wyprawę w Tatry, a nawet rekonstruuje w pamięci szkolne wakacje sprzed wielu lat. Odczuwam ponadto chroniczny głód wiadomości o naszym kraju, ludziach i zdarzeniach. Emigracją polityczną nie interesuję się raczej i nic mnie z nią nie łączy.

Przedstawiwszy Panu Profesorowi ważniejsze argumenty dowodzące moich związków z krajem, muszę jednak stwierdzić, że tutaj w Stanach atmosfera w moim zakładzie naukowym składa się z takich oto podstawowych cech: rzetelność, uczciwość, absolutna koncentracja, jednoznaczne kryteria w ocenie naukowca jako człowieka oraz brak ingerencji w autonomiczny zakres swobód i praw ludzkich. Być może powie ktoś, małe powody małe względy dla pojęcia tak radykalnej decyzji. Jednak one w sposób zasadniczy warunkują ludzką kondycję. Dopiero tutaj w pełni to rozumiałem i przeżyłem. Odczuwam jak błogosławieństwo brak tak typowej u nas koteryjności, dwulicowości, demagogicznego wygrywania za pomocą polityki i ideologii swoich małościowych celów, pragnień. Tu w moim zakładzie naukowym w sposób wyłączny liczą się: umiejętność, talent, odwaga, wytrwałość i silna wola. Zwykle podstawowe kryteria współżycia społecznego, zdawać się może, banalne wyróżniki, tak oczywiście w życiu każdej zbiorowości przeciwieństwo. Niestety zagubione u nas lub obudowane dwuznacznymi przydatkami, bagażem przeszłości, czy jak to jeszcze nazwać. Za każdym człowiekiem u nas ciągnie się ogon jakiś, zduszony rodowód, niejasne dziedzictwo, coś trzeba zawsze ukryć, zataić, w sumie nigdy w pełnym, rzetelnym rozumieniu nie można być sobą. W moim liście spostrzec łatwo nielogiczne zwroty, ciągle powtarzające się „tam u nas” zamiast „tam u was”, tak zapewne już pozostanie, będę połową tam, połową tu, ciągle powyższe zwroty mylić mi się będą. Proszę mi wierzyć jednak, w takich wyznaniach ważniejsze są uczucia niż rozumowe racje, że tutaj w Stanach z odległości tysięcy mil, nasze sprawy, przede wszystkim te utajone, podskórne, wiecznie jątrzące, wydają mi się jak monstrualny garb. Przypominają mi się dwa poprzednie moje wyjazdy do Anglii i Szwajcarii na zaproszenie tamtejszych ośrodków badawczych. Nigdy nie opowiadałem Panu Profesorowi o powrotach stamtąd.

Wstydzilem się i brzydziłem, również nie ufałem w tej kwestii nikomu. Tchórzliwe i małostkowe było moje stanowisko, ale ono przecież stanowi konsekwencję naszej sytuacji krajowej. W niektórych kwestiach panuje absolutna nieufność, a nawet zwierzęca obawa. Otóż wracając do kraju stawałem się automatycznie podejrzanym, nawet sam wobec siebie gorączkowo odtwarzając swój pobyt, każde słowo i gest. Wzywano mnie kilkakrotnie do wiadomej instytucji i rozpoczynała się smutna farsa. Indagacja na przemian wykwiwna to znów brutalna, podchwytliwe pytania, szperanie w grubych aktach, jak mogłem przypuszczać stanowiących moje dossier, uporczywe nawroty tych samych pytań, przetykane gościnną kawą i papierosem. Proszę mi wierzyć, były to dla mnie do głębi poniżające sceny, czułem się policzkowany, a reagowałem pokornie i milcząco. Raz tylko nie wytrzymałem, rozmawiałem wówczas z dwoma panami, jeden siedział za biurkiem, drugi w kącie pokoju schowany za palmą i jego pytania padały zza tego liściastego ukrycia. Miałem już dosyć wszystkiego i podniosłem się nagle z krzesła, odsuwając palmę przesłaniającą jednego z moich rozmówców. Stropił się wyraźnie. Popsułem im starannie opracowany scenariusz i taką tylko miałem satysfakcję. Chcę jeszcze napisać, że ostatnio nawet miałem taki sen–koszmar: wracam do kraju, wzywają mnie do wiadomej instytucji, w tym śnie ona jak gmach–labirynt, a powrót do kraju to bezpośrednio wejście w ogromne wrota tego gmachu, wokół mnie osobnicy rośli, brutalni o urodzie odrażającej. I miałem w tym śnie pewność, że już nigdy nie pojedę nigdzie. Próbowałem uciekać przez niekończące się korytarze, nogi wrastały w podłogę, tak zwykle we śnie bywa, nie można uciec. Obudziłem się spocony. Był świt. Widok z mojego okna ładny. Campus na wzgórzach, dużo bujnej, nieco egzotycznej zieleni, z niedalekiego *high-way*'u szum jadących aut, zaczynał się *weekend*, ogrodnicy polewają klomby i trawniki. Poczulem się znów normalnie i spokojnie.

W ogóle mam jeszcze tyle do powiedzenia Panu Profesorowi, tylko forma pisemna nie bardzo odpowiada mojemu pragnieniu. Jednak jak już zapewne domyśla się Pan Profesor, inne możliwości porozumienia między nami są na razie niemożliwe...”

W mroku gabinetu oczy starego Profesora za grubymi szklami pobłyskiwały zmiennymi refleksami światła. Na półkach rzędy książek w sztywnych okładkach ze złożonymi grzbietami. Cisza i wyczekiwanie. Od kilku dni żył Onio w zawieszeniu. Namawia stary gorąco. Dziś ostateczny termin. Jutro odbędzie się rada wydziału. Dlatego nie podnosił słuchawki. Jeden sygnał, drugi, trzeci, czwarty.

– Wymowny ten mój kolega zza oceanu – powiedział Onio półgłosem. No więc zgoda. Występuje o paszport. Czeka. Coraz dłużej czeka. Docent Błasiak uśmiecha się coraz wredniej. Wreszcie przychodzi odpowiedź. Paragraf taki a taki. Odmawiają. Wciąga się w tryby działań żalostnego petenta. Odwołania, wyczekiwania. Jak ten jego kolega nieszczęsny z Polibudy. Do tej pory pisze i czeka. A w ogóle czy liczą się jeszcze choć trochę ze zdaniem starego Profesora? Już od pięciu lat na emeryturze. Owszem, jego wiedza, osiągnięcia. Chwałę, wymieniają. Lecz on sam dla nich jest już chyba tylko efektywnym szyldem. I narodziło się zwątpienie w realność tego stypendium. Poruszył się niecierpliwie. Spojrzał z udręką na czarny lśniący telefon. Onio. Barczysty, nieco przygarbiony mężczyzna w sile wieku. Jeszcze sprawny fizycznie, dbałość o kondycję regulowana poranną gimnastyką i sportami wodnymi oraz narciarstwem w czasie urlopu. Siwizna nawet interesująca i dyskretna elegancja z przewagą brązu w ubiorze. Samochodziarz równocześnie. W przyływach optymizmu uważał, że nie poddał się jeszcze. Nadzieja w nim tliła. Błysk z nieba i zaczęnie się wspaniała, olśniewająca przemiana losu. Tak jak w młodości oszukiwał się pozorami swobody i odrębności. Jak ci biedni, zaszczuci bikiniarze w tamtych latach. Forpocza anarchistycznej wolności. Tak wtedy uważał. Przypomniał sobie tę scenę pod rachitycznym drzewkiem na Pradze.

– Kwik i fik! – roześmiał się, znów przeżywając pokonanie mundurowego przeciwnika sprzed wielu lat. Obaj postarzali teraz. On. Tamten. Zmarszczki, siwizna, dolegliwości średniego wieku. Tyle lat temu. Ożywił się rekonstrukcją tamtej komicznej sceny. Pamiętał ją w

najdrobniejszych szczegółach. Dać świadectwo swojej prawdzie. Swoim doświadczeniom. Gdzie jego własny głos? Ginie zupełnie w gromkich porykach z gigantofonu. Cudaczne zdrobnienie własnego imienia jako metaforę zobaczył. Onio, rodzaj męski, nijaki. Zanurzał się z uporem w swojej niewesołej młodości. Przydeptana, w szarej tonacji, ale młodość to jednak. Cały siłą przekorną wtedy pulsował. Przypominał dawne miejsca, ludzi o błyszczących oczach widział. Co było w tamtych oczach? Przypomniane szybko zagasało. Pozostała gorycz i świadomość siły na próżno wyczerpanej. Racja po stronie starego Profesora. Walenie głową w mur. Ciągłe ten mur. Miałkość i bzdura. Skok za ocean. Inny świat. Szansa być może jedyna. Angielski zna jako tako. Uczył się wiele lat. Metodyści, kabiny ze słuchawkami, poranna płyta. Gramatyka, zasób słów, idiomy, akcent. Skok za ocean. Żadnego w tym patosu czy dramatycznej alternatywy. Po prostu ucieczka, egoistyczna szansa dla własnej egzystencji. Pieniądze, kariera, spokój, perspektywy. Jaką mógłby mieć twarz wobec przyjaciół, wrogów? Ich aprobata, zazdrość. Znaczyć to będzie: przyjął reguły panującej gry. Święty, niezależny, aż tu naraz taka gratka. Bez wahania pakuje manatki. Nie pojedzie, zostanie. Dumnie odrzuci tę propozycję. Niech się Błasiak przewietrzy trochę. Żadnej w tym dumy. Ugrzązł już. Banalnie ugrzązł. Woli zlorzeczyć, miotać się i rozdrapywać stare rany. Nie chce nic zmieniać. Przyzwyczał się już. Strach wobec nieznanego. Woli posuwać się dobrze znanymi, cuchnącymi kanałami. Ogarniał go niepokój. Czyżby popadał w histerię, szaleństwo, paranoję? Te twarze... Niedawno półsen miał w gorączce. Mglista powtórka sceny, którą widział na ulicy. Kursanci Instytutu Nauk Społecznych wracali ze swoich zajęć. Wychodzą mężczyźni z gmachu udekorowanego czerwonymi flagami i transparentami. Wszyscy z plastikowymi teczkami, w których znajdują się materiały z konferencji, referaty, broszury, tezy. Dzień pogodny, ładny, liście purpurowe i żółte ścielą się na ulicy. Idą roześmiani aktywiści. Przeważnie przysadziści i otyli, te rozrosłe zasy, te rozrosłe brzuchy. Elegancja zbyt jaskrawa, zbyt dokładna wobec mody, te krawaty, spodnie, marynarki. Twarze ich kwitną szerokimi uśmiechami, sama szczerość i pogoda, lecz oczy zimne, bystre, bacznie sondują rozmówcę, nieufnie obmacują go szybkimi błyskami, bez życzliwości te oczy, a równocześnie uśmiech szeroki, częsty, jak skurcz czy grymas. Ci mężczyźni z szerokimi uśmiechami potakują gorliwie, oburzają się to znów cieszą, szybkość tych reakcji iście kolarska. Wszyscy w jednego wpatrzeni. Ten jeden, jeszcze bardziej przysadzisty, jeszcze grubszy, z upartą, sytą twarzą bez cienia wątpliwości. Za tą pierwszą grupą idą następni też grupą. Przysłuchują się osobnikowi w okularach, który peroruje zawzięcie i wyciąga papiery z teczki. Słuchają go pobłażliwie i potakują zdawkowo, ziewnięcia niedbale dłonią maskując, wcale nie skępowani gadatliwym w okularach, zapewne podrzędnym jakimś prelegentem. Ta uroda współczesnych mężczyzn. Ci z warstw górnych, od rządzenia, administrowania, nauczania, aktyw właśnie dużo w nich otyłości, dużo konferują i wysiadują, podgardla obfite, twarze fałdziste, spojrzenia otwarte i jasne, a w środku kipieli obłudy, czujnego wyczekiwania, żeby na czas przytaknąć lub zganić, oburzyć się czy zachwycić, nieustająca pod tą napiętą formą galareta strachu, niepewności, cynizmu. Twarze mieniające się jak tęcza wieczną gotowością. Tak idą, idą. Liście sucho szeleszczą. Za dziesięć, piętnaście lat następni znów wyjdą z plastikowymi teczkami i pójdą ulicą. Idą, idą. Liście szeleszczą. Są coraz bliżej. Już pory i wągry widać na twarzach, które traciły regularność rysów, rozdymały się i w miarę zbliżania zamieniały się w jakieś zwierzęce ryjopyski. Nie chciał mieć Onio takich braci. Nie chciał mieć takich synów. Nie chciał być w takiej rodzinie.

Jechał samochodem. Podwoził do domu kolegę z Instytutu. Po lewej stronie tej arterii wylotowej z miasta, burzono starą kamienicę. Przyhamował i patrzył. Z bólem zegnał solidną, wiele lat temu wzniesioną budowlę. Jedną z ostatnich wśród nowej zabudowy w tej dzielnicy. Kolega z Instytutu mówił o jakimś wyjeździe do Wiednia, o dyrektorze, który nikogo nie dopuszcza i krępuje inicjatywę, o docencie Błasiaku, podpierającym swoje nieuctwo aktywno-

ścią partyjną, jeszcze o kimś, kto przywłaszcza sobie cudze osiągnięcia. Onio przestał słuchać.

– Tak burzą – wyrzucił przez zaciśnięte zęby – stoi coś, mocne, oryginalne, a oni, Hunowie zasadzą się, wyskoczą i zniszczą.

W tym dramacie miejskiego pejzażu z całą jaskrawością wystąpiło jego własne rozdarcie w świecie. Wypychany zewsząd. Z osobistym emocjonalnym stosunkiem reagował na nieuchronne, architektoniczne zmiany. Zawierała się w tym istotna dla niego metafora. Obcość. Próżnia. Zahuczało. Spycharki i ciągniki ruszyły niczym czołgi. Nie ma już warownego kasztelu, obrosłej historią mieszczańskiej kamienicy.

– Co z tobą? – zdziwił się kolega z Instytutu.

– Nic – Onio klepnął się w czoło – umówiłem się z dziewczyną i zapomniałem.

– Te siksy u nas – powiedział kolega – aż piszczą za tobą.

Dla wszystkich w instytucie był Onio osobą intrygującą. Kawaler czyli dotąd nieustabilizowany. Osiągnięcia w pracy naukowej posiada znaczne. Jednak nie rozpycha się i po szczeblach kariery nie wspina się zbyt gwałtownie. Zastanawiające i dziwaczne. Tak to komentowano. Wysłuzona Syrena ruszyła jak strzała. Paru taksówkarzy z postojem zagapiło się ze zdumieniem. Jeszcze jedna zabawa Onia. Może już ostatnia. Pod zardzewiałą, plamistą blachą Syreny krył się silnik Lanci. Cała ta Syrena toporna, rękodzieło wprost, perfidnie została dostosowana przez właściciela do harmonijnej współpracy z silnikiem. Koszty operacji były znaczne. Lecz Onio do tej sprawy przywiązywał dziecinne zgoła znaczenie i pieniędzy nie żałował. Mija wozy przednich marek, ściga się ochoczo i pozostawia za sobą rozmaite Taunusy, Ople, Peugeoty.

– *On the Road* – Onio uśmiechnął się ujmująco do kolegi – książka amerykańskiego pisarza, Jacka Keruaca, już nie żyje niestety, swego czasu bardzo popularny wyraziciel *beat generation*, James Dean i inni, pogoń za czymś nieokreślonym, niepokój i sprzeciw wobec stabilizacji, narkotyki i wolność, smutek i anarchizm, kryzys społeczeństwa amerykańskiego, ochoczo mówili u nas, młode pokolenie za oceanem straciło wiarę w sens życia, bardzo frasowali się nasi diagności, minął ten trend dosyć szybko, obecnie mamy komuny dzieci Boga, sekty buddyjskie, ogolone łby, nirwana i zen.

– Przydałoby się im trochę ruskiej piąchy – powiedział mściwie kolega z Instytutu – wszystko mają i jeszcze im mało.

– Niezupelnie się z tobą zgadzam, mój drogi – odparł Onio. Dodał gazu. Ostry zakręt. Byli już za miastem, pusta szosa. Lekki dotyk kierownicy i wóz coraz szybciej jedzie. Wiatr i świst. Mijanie wszystkiego. Poczucie swobody i dystansu. Kolega dosyć niepewnie spoglądał na tarczę szybkościomierza.

– A ja – podjął flegmatycznie Onio – pod sztandarem Keruaca właśnie.

– Uważaj – syknął kolega.

Z bocznej drogi schowanej wśród wierzb wynurzył się samochód–chłodnia. Onio po non-szalancku minął chłodnię, ocierając się prawie o srebrzysty bok kolosa.

– Ty natomiast – ciągnął – świetną willę sobie postawiłeś, teściowie zapewne dopomogli – była to aluzja dosyć gruba do tych badylarzy, w których majątek wzenił się sprytny kolega z Instytutu – komfort zachodni, dwie łazienki, gabinet, *living–room*, dwa garaże. Czy jest tam oranżeria? Oranżerię powinieneś koniecznie. Egzotyczne kwiaty pod opieką fachowca.

Kolega spojrział podejrzliwie. Onio zachował pokerową twarz.

– Taka willa to niewątpliwie trwałe element w naszym świecie zmiennych wartości. Błasiak na pewno zazdrości.

Kolega stracił czujność i pojaśniał satysfakcją.

– No – przytaknął – tak ślepie wytrzeszczył.

Rozejrzał się po wnętrzu wozu. Też dziwaczne niebywale. Oklejone fotografiami z kolorowych magazynów. Fizyk Landau, Einstein, Mao, tajemnica żółtego wschodu. Zdjęcie amerykańskich kosmonautów. Sołżenicyn, pisarz bojownik.

– Sołżenicyn – zniżył głos kolega – żebyś nie nabawił się jakichś kłopotów.

Onio wzruszył ramionami. To był jego prywatny teatrzyk. Szybki silnik schowany pod maską, osobliwa tapicerka z portretami, ucieczki przed patrolami na szosach, wódka z sąsiadem–policjantem, studium ormowca... Tak sobie żartował. Jeszcze trująca wiadomość o stypendium nie zakiełkowała w nim. Jeszcze balansował z uśmiechem. Mała zabawa z rzeczywistością. Czy mogła wystarczać jednak? Czy nie stawiała się czasem żalosną parodią? Nagłymi zrywami próbował brać udział w działaniach społecznych. Dawne skłonności, echa młodzieńczych uniesień. Zebranie w Instytucie. Ktoś bardzo ważny z centralnego szczebla popisywał się przemówieniem pustym, gładkim i usypiającym. Słuchacze drzemali w większości. Tylko Onio wsłuchiwał się w ten potok dźwięków, zaznaczanych dość ubogą gestykulacją. Rozdrażnił go ważny z centralnego szczebla. Popatrzył na audytorium. Tylu uczciwych myślących ludzi w tym gronie przecież. Niektórzy mrugają do niego porozumiewawczo. Znaczyć to może dowodnie, że mają własne, niezależne zdanie. Nie ulegają demagogii z mównicy. Onio energicznie poprosił o głos.

– Żądam konkretów – powiedział w ciszy napiętej – żądam szacunku dla słuchaczy. Dość mamy banału i sztampy. Domagam się rzeczowych propozycji i logicznych wniosków z przedstawionego przez nas stanu faktycznego – mówił gorąco, uczciwie i mądrze. Jednak w trakcie wystąpienia opuszczając go zaczęła swada. Wkradło się rozczarowanie i zwątpienie. Widział przecież jak powstaje wokół niego próżnia. Fizyczne poczucie tego stanu. Nieruchome, zamknięte twarze. Martwe, szklane oczy. Wrażliwsi opuścili jedynie głowy. Nikt go w rezultacie nie poparł. Wezwany następnego dnia do dyrektora Instytutu. Rozmowa pełna troski o jego los, nasycona komplementami na temat zdolności, dobrej woli i słuszności proponowanych rozwiązań, przeplatała się z aluzyjnymi pogrozkami i szantażem.

– Tu trzeba dyplomacji – powiedział dyrektor – a nie tak walić prosto z mostu.

Zgodzi się na to cholerne stypendium. Nagle o tym pomyślał. Skąd jednak można wiedzieć, czy dyrektor nie nada temu negatywnego biegu. Stary Profesor, naiwny przecież i nie zna zbyt dobrze tutejszych, krętych ścieżek.

Koledzy zwracali się do Onia z przyjacielską troską:

– Po co się wychylałeś?

– To i tak nic nie da.

– Tylko sobie narobisz kłopotu.

– I nam też.

– Wezmą na celownik cały Instytut.

– Lepiej siedzieć cicho i swoje myśleć.

Ciągle walczyli sprawę tego idiotycznego zebrania. Nawet docent Błasiak w przystępie życzliwości zwrócił się do niego mimochodem w klozecie:

– Kolego, rozumiem wasze intencje, ale na takich nieprzemyślanych wystąpieniach można sobie zęby połamać – spuścił wodę z rezerwuaru i dodał – to bardzo wpływowa persona. Profesora Włodarskiego zdmuchnął jak świeczkę.

Przypuszczalnie w personalnej kartotece notowano starannie wszystkie jego ekstrawagancje. Leżą w zielonej teczuszce i czekają. Apatycznie spoglądał na telefon. Ożywił się. Taka infantylna zabawa. Jeżeli zadzwoni, podniesie słuchawkę i powie: tak. Czekał. Nie dzwonił. Może Profesor zrezygnował. Ogarnęła go irytacja na rozterki swego pupila, machnął ręką, koniec. Błasiak w ubikacji ostrzegał. W jego mulistej, pełnej niedomówień konwencji było to niewątpliwe ostrzeżenie. Zniewolniczone rozważania. O czym? Czemu tyle myśli poświęca?



Ogarneło go znużenie. Oto droga. W dół, opadanie. Pytał kolegów: – Wierzycie? W co wy wierzycie?

– Czyś ty oszalał? – dostawał odpowiedź. – Tak musi być a żyć trzeba.

Poszeptywano o nim w Instytucie. Dziwak. Nie umie się przystosować. Wieloletnie doświadczenie dyktowało tę opinię. Doświadczenie zmęczonych, przegranych, którzy pragną spokoju za wszelką cenę. Może mają rację? Błasiak, dyrektor, wszyscy. Chcą żyć. Być może i oni odpowiadają wieczorami te swoje ponure godziny rekolekcji. Dlaczego mają nie odpowiadzać? Nie czuł do nich nienawiści. Był jednym z nich. Tylko dość miał tego po prostu. Wyjechać. Najlepiej wyjechać. Sprawdzi tam siebie. Nie uda się, to wróci. Czy to są pytania warte udreki? Ogarneło go pragnienie obojętności, spokoju. Nieraz przychodziło takie pragnienie. Wykastrowana wrażliwość, żadnych skojarzeń i porównań. Niski pułap, płaskość wegetatywna. Rzeczywistość jednak ciągle atakowała. Męczący stan uczestnictwa. Choćby rejestracja tylko.

Był wtedy późny wieczór. Cicho na ulicach. Gasły światła w oknach domów. Dotarł Onio na dalekie przedmieście. Zbliżył się do kościółka ukrytego w topolach. Zobaczył milczący tłum na kościelnym dziedzińcu. Ulicę przemierzały policyjne patrole. Kroki oddalały się, to znów zbliżały. Tłum w miarę narastania stukotu po bruku falował gwałtownie i szumiał. Przystanął Onio zafascynowany tym niecodziennym widokiem. Wkrótce dowiedział się o przyczynie wieczornego wzburzenia. Kościółek, a właściwie barak o spadzistym dachu, schowany wśród starych drzew, od dłuższego czasu stanowił ognisko zapalne w tej dzielnicy. Fama o tym zataczała szerokie kręgi. Kilka lat temu uzyskała parafia prawo kupna placu. Wzniesiono prowizoryczną świątynię i zgromadzono cegły, deski, wapno. Jednak władze miejskie nie udzieliły zezwolenia na budowę kościoła. Starał się proboszcz, zabiegał biskup a parafianie podpisywali petycje. Ludzie zdążający na dziedziniec kościelny byli rozgorączkowani i zawzięci. Władze postanowiły zająć część kościelnego placu, motywując swoją decyzję planem zabudowy dzielnicy. Podniecenie ogarneło również Onia. Stał i patrzył. Dał się słyszeć warkot samochodów. Elektryczność przeleciała przez tłum. Z tyłu na ślepią uliczkę podjechały policyjne ciężarówki. Onio, pracownik naukowy Instytutu, racjonalista i ateusz, poczuł nagle zespolenie z tłumem, kłębiącym się za parkanem. Narastał w nim gniew. Zabrzmiał religijny śpiew. Onio zaciskał dłonie na sztachetach parkanu. Ktoś mocno trącił go w ramię.

– Szczęścia szukasz? – głos jak warknięcie.

Obejrzał się. Niski, pękaty, w płaszczu. Tajny.

– Patrzę – odpowiedział Onio.

– Zmykaj, koleś – groźnie naparł na niego tajny.

– Patrzę – powtórzył Onio.

Wskazał na tłum, który zawodził te od lat ciągle przejmującą pieśń: „Do Ciebie, Panie, zanosim błaganie, Ojczyznę wolną racz nam...”. Wraz z tym śpiewem potęgowało się w nim uniesienie. Dawno zapomniane już uczucie.

– Zmykaj – powtórzył tajny i poruszył dłonią w rękawie. Z rękawa pojawiła się pałka.

– Ty śmieciu – wybuchnął Onio.

Tajny w odpowiedzi użył pałki. Bił Onia po dłoniach wczepionych w sztachety. Onio zawył przenikliwie.

– Biją – ktoś krzyknął.

Tłum jak ogromny taran zaczął zbliżać się do parkanu. Tajny czmychnął w ciemność. Noc spędził Onio na dziedzińcu kościelnym wraz z zebranymi tam parafianami. Rozpalili ognisko i śpiewali bogobojne pieśni. Do rana pilnowali placu. Wraczał Onio szarym świtem i ochłodniejszy już, analizował swoje zaskakujące doświadczenie. Emocjonalna zgodność z tłumem. Potrzeba protestu. Ponadto sam rodzaj zaangażowania. Chłodny, sceptyczny racjonalista,

przynajmniej za takiego się uważał, wśród wierzących. Dewotki z zapalonymi świecami, złote chorągwie z wizerunkiem świętego patrona, ten śpiew. Temperatura jego uniesienia była jak za czasów październikowych wieców, pochodów i manifestacji. W swoim prywatnym bilansie ocenił to doświadczenie bardzo wysoko. A popuchnięte, sine od uderzeń pałki palce oglądał z satysfakcją.

– Co ci się stało? – dziwili się koledzy z Instytutu. – Pewnie pijatyka i zatarg z władzą.

– Zatarg z władzą owszem – przyznał Onio.

Koledzy uśmiechali się domyślnie i przypuszczali, że rzecz rozeszła się o kobietę.

Zazdrościli mu wyraźnie. Sami z latami obrośli w rodziny, dzieci. Stali się ociężali i nie skłonni do posunięć dyktowanych porywami serca czy pożądania. Dlatego wyobrażali sobie wciąż nowe podboje Onia. Jego lekkie, barwne i pełne przygód życie. Onio wcale nie wyprowadzał ich z błędu. Uśmieszek Don Juana. Elegancja też żurnalowa. Niech tak sobie myślą. Ponadto będąc wieloletnim członkiem spółdzielni mieszkaniowej, uzyskał prawo wyboru punktu, domu itp. Wybrał miejsce ustronne i ładne. Dom–plombę, to znaczy starą kamienicę wśród nowego budownictwa. Ulica zadrzewiona, spokojna, rzadko przejeżdżały tędy samochody. Mieszkanie o metrażu większym niż standartowy, urządził sobie starannie i ze smakiem.

– Zwłaszcza z taką chatą – mówili koledzy z Instytutu. – Może baletować ile chce.

Jeszcze raz wdarła się rzeczywistość w życie Onia podczas studenckich manifestacji w marcu. Słuchał trybunów na dziedzińcu uniwersyteckim. Brudne, pokryte topniejącym śniegiem ulice wypełniły się młodzieżą o rozgorączkowanych oczach. Zobaczył policjantów wynurzających się zewsząd, słyszał tupot ich podkutych butów, białe pałki migotały w sprawnych dłoniach, a na murach pojawiły się napisy o treści żywej i namiętnej. Wyobraził sobie następne pokolenie, które podaży na przemiał historii. Towarzyszył narodzinom gorzkiego protestu, bezsilnej nienawiści, cynizmu, tępej bierności i niewolniczej pokory wreszcie. Uciekać zaczął od burzliwego życia na ulicach i dziedzińcach uczelni. Obciążony doświadczeniem swego wieku nie mógł się zdobyć na odrobinę choćby optymizmu.

– Chwilowo straciłem formę – mówił później, usiłując z dystansem powrócić do swojego tak pracowicie zbudowanego ładu i niezależności. Jeszcze później analizując spustoszenia, które jego nie ominęły również, powiedział: – I Żydów nauczyłem się wtedy odróżniać, paradoks niestety. Protestując przeciw tym hecom, zdobyłem nieomyślne rozeznanie rasowej odrębności. Pouczające, prawda?

Opowiedział o instrukcji dawanej przez kolegę S. doktorowi Kobyleckiemu.

– Dawniej Żydzi byli znaczni, panie doktorze, teraz trudno ich wyłuskać, cały szkopuł na tym polega, rozpoznać i rozpracować, jednego chyba mamy, rudy, te kudły tak mu się kręcą, a nos jaki, nie zauważył pan, doktorze? – I odprowadził kolega S. znaczącym spojrzeniem dyrektora.

Onio, który słyszał te szeptki przypadkiem, również powiódł w zastanowieniu wzrokiem za dyrektorem Instytutu.

Stary Profesor bezradnie rozłożył ręce w odpowiedzi. Wtedy miał znacznie mniej dystansu i pobłażliwości dla zgiełku historii rozgrywającej się za oknami. Na korytarzach zacisznego Instytutu też tupotały podkute buty. Dotąd spoglądał Onio ze swoistą fascynacją na kolegę S. Był to dla niego wzorcowy kondotier tutejszego formatu.

– Wierzyć w coś? Fiut – chętnie powiadał. – Dostatecznie już się na tym sparzyłem.

Odcinał się od wszelkiej wiary, poglądów. Naiwnością to nazywał. Był wyłącznie skoncentrowany w dążeniu do kariery. Cechowała go serdeczność, prostota, w razie potrzeby imitował gorące zaangażowanie. Świetnie znał sposoby, stosowane w przeróżnych grach. Od dłuższego czasu szykował się na fotel dyrektora Instytutu. Działał jednak niezwykle ostroż-

nie. Wysyłał na pierwszy ogień głupców i nienawistników. Idealnego awangardzistę znalazł w osobie doktora Kobyleckiego.

Nafaszerował go plugawą ideologią tamtych dni i wskazał ofiarę. Miał nią zostać dyrektor, ten ogar o ziemistej twarzy żołądkowca. Doktor Kobylecki ruszył do ataku. Tępawy, ociężały w myśleniu pięćdziesięciolatek. Ponadto nie pieściło go życie. Po wojnie wyrok za przynależność do WIN-u i wiele lat złe papiery rozpychały jego teczkę w kadrach. Stał się podatny na smak jakiegokolwiek zemsty i szarżował ochoczo. Za nim kolega S., przemyślnie ukryty w cieniu, inspirator wszystkich posunięć i intryg. Mieli jednak podstawowego pecha. Złego pochodzenia nie mogli dyrektorowi udowodnić. Jeździli do jego rodzinnego miasteczka, sondowali ludzi, buszowali po cmentarzu. Na nic. Dyrektor przetrzymał nawałnicę. Minął czarny miesiąc, przyszły inne miesiące. Doktor Kobylecki padł ofiarą złej passy, która być może na stałe już towarzyszyć mu będzie we wszystkich poczynaniach. Zwolniono go z Instytutu. Kolega S. gładko wkroczył do nowego etapu. Dyrektor, choć doskonale zorientowany w jego poprzedniej aktywności, takiego sojusznika potrzebował właśnie. Inteligentnego, cynicznego i sprzedajnego. Toteż mocno ściskają sobie dłonie i patrzą w oczy.

– Nie ma pan żadnej rodziny – powiedział Profesor. – Lżejsza decyzja, kochanku. Przefrunie pan ocean jak ptak odlatujący na zimę.

Ptak odlatujący na zimę. Skok za ocean. Mit zaczyna działać, Spokój, dystans, zablizni się wiele ran. Wraz ze zmianą miejsca szansa na nowe życie. Praca naukowa, normalna atmosfera, zdrowe bodźce. Tak pisze ten dawny uczeń Profesora. Bez tutejszego fałszu, intryg, niepewności, uników i demagogii. Odczuwa jak błogosławieństwo brak tak typowej u nas... Tak pisze. Nieznany, wielki kraj. Kontynent. Przestrzeń, szeroki oddech. Bogate w doznania życie. Życie właśnie. Bzdura. Nie nadaje się już do zaczynania od początku. Jego czas już minął. Zacznie tęsknić, wyć. Samotny wśród obcych ludzi. Ani tu, ani tam. Nie był jednak przekonany. Nawet idylliczny wątek zaczął snuć. Napotka gdzieś tam cudowną dziewczynę. Spoglądał na czarny, lśniący telefon. Uparte pudło tortur.

– Kolego – wspomniał kiedyś docent Błasiak – mam dla was pozdrowienia od przyjaciół z roku, z uczelni znaczy. Bardzo serdecznie was wspominają.

Przyjął to obojętnie. Teraz powstało zastanowienie. Być może Błasiak dawał w ten sposób do zrozumienia jak wiele o nim wie. Niebezpieczny uparty kornik. Będzie drążyć aż do skutku. I rykoszetem powróciło myślenie dolne, szcurze, jak mówił. Będzie zabiegał o paszport. Patrzył wiernie i poddańczo dyrektorowi w oczy. Będzie szukał porozumienia z Błasiakiem. Tyle było w nim zmęczenia. Sygnałów starości. Pokory, strachu. Pragnienia spokoju za wszelką cenę. Bał się czasem. Strach był irracjonalny. On, samotny i bezbronny, a naprzeciw potężny, chamski tłum. Za chwilę ten tłum rozdepcze go jak robaka. Deformuje rzeczywistość, czyniąc z niej ponurą makabrę. Przyłapał się na takiej refleksji. Poczul się jak oszust. Oszust wobec własnego, niezależnego stanowiska. Ogarneło go upokorzenie.

Mówił kiedyś Profesor:

– Władza, jej gromkie nazewnictwo, groźne nakazy i zakazy to jedynie czapa, sztuczna czapa czy klosz, którym siłą przykrywają życie, a ono samo broni się, biegnie swoim nurtem, wymyka się z tego betonowego łożyska, ludzie sami odrzucają ten przeszczep.

– Wątpię w to – przerwał gwałtownie Onio – ten przeszczep zaczyna się już przyjmować.

Profesor wyraźnie się zdenerwował. Milczał długą chwilę. Następnie już rzeczowym, ostrym głosem przeszedł do spraw wyłącznie zawodowych.

Rozległ się tupot kroków na schodach. Zgrzyt klucza w drzwiach sąsiedniego mieszkania. Zapewne wrócił policjant. Testowany przez niego reprezentant władzy. Stanął w oknie. Noc na ulicy. Pałą się latarnie. Samochód stoi po przeciwnej stronie. Syrena z silnikiem Lancii. Błazenada. Dlaczego ukrzyżował się na ramionach nierealnego dramatu? Wyjazd – równa się

ucieczka. Zostać – znaczy trwać, walczyć. Co to wszystko oznacza? Nic. W pokoju też ciemno. Głowa roiała się od pytań bez końca. Od obiadu pograżył się w wyjazdowych dylematach. Ta szarpanina jak majaki chorego umysłu. Zapalił lampę. Podszedł do telefonu. Wykręcił numer. Usłyszał głos Profesora.

Usłyszał swój głos:

– Tak, zdecydowałem. Bardzo dziękuję, panie Profesorze, za tę propozycję. Chętnie wyjadę. Przemyślałem wszystko.

Mówi Profesor. Ucieszył się. Mówi o tamtejszym ośrodku. Mówi o badaniach, w których oni są pierwsi na świecie. Mówi o jego szansie naukowej. Mówi o *chairman*'ie wydziału. Odpowiadał dziarskimi monosylabami. Koniec. Położył na widelki słuchawkę. Po prostu kilka słów. Zwykła sprawa. Załatwione. Aż był zdziwiony banalną pointą.

– Zwijam manatki – powiedział głośno.

Poczuł satysfakcję. Jednak pointa nie była wcale tak banalna. Przepelniała go pustka, znużenie jak po nocach trawionych nad papierami, kiedy borykał się nad jakimś problemem swojej specjalności. Może więcej jeszcze. Prostota rozwiązania. Odkrycie, które przychodzi nagle po tylu bezskutecznych wysiłkach i dziwi swoją oczywistością. Nie mógł już usiedzieć w domu. Przytulne wnętrze jego pokoju zamieniło się w ciasną klatkę o zgoła odmiennym przeznaczeniu. Przestronność, ład i harmonia tego pomieszczenia straciły swój dotychczasowy charakter. Wypychały, jeżeli można znaleźć słowo dla określenia jego spojrzenia, którym błąkał się po ścianach, meblach, ulubionych przedmiotach i książkach. Wziął kąpiel. Ogołił się starannie. Rozmyślał też chwilę nad wyszukaniem odpowiedniego garnituru. Zrezygnował ze swetra, gdyż ten jesienny wieczór był ciepły niczym w lato. Wyszedł z domu. Pożegnalny spacer. Roześmiał się. Symboliczne określenie. Ale niech będzie. Pożegnalny spacer albo łabędzi śpiew miasta. Tak swoje wyjście nazwał i nie raził go wcale melodramatyczny patos słów w ten sposób dobranych. Szedł starym zwyczajem bocznymi ulicami, unikając gwarnych, oświetlonych miejsc. Wstąpił do piwiarni, wypełnionej pijanym tłumem mężczyzn. Otoczył go bełkotliwy gwar, charakterystyczny dla takich lokali. Przyjemny w tej chwili. Po długim oczekiwaniu w kolejce dostał wreszcie piwo i manewrując kuflem ponad głowami chwiejnej cizby, znalazł miejsce w kącie między wahadłowymi drzwiami a szybą okienną zajmującą całą ścianę pomieszczenia. Zaczął sączyć piwo, wsparty o kontuar. Obok niego stał wyrostek najwyższej osiemnastoletni o przegubach dłoni drobno posiekanych żyłką. Pocentkowana sinawymi bliznami skóra dziwne sprawiała wrażenie. Kojarzyła się w sposób nieodparty z pogardą dla własnego ciała. Wyrostek dostrzegł zainteresowanie w oczach Onia.

– Bierzesz pan żyłkę – powiedział wyzywająco – i ciach, ciach. Tylko trzeba głęboko, żeby dostać się do żył.

Onio trącił się z nim kuflem. Wyrostek prychnął pogardliwie.

– Jest czym się stukać.

– Słaby trunek – przyznał Onio.

– Masz pan chęć na coś mocniejszego? – zapytał wyrostek.

Onio pokiwał głową.

– Mogę przynieść – wyrostek przeciągał słowa.

Onio bez wahania dał mu stużłotowy banknot. Ciekaw był czy wróci. Wrócił.

– Toni – przedstawił się.

– A ja Onio, czyli rodzaj męski–nijaki – zażartował.

Wyrostek przyjrzał mu się uważnie.

– Długo się trzymasz w tym rodzaju nijakim.

Pod kontuarem rozpieczętował butelkę i do połowy napełnił kufle.

– Chłeptaj– powiedział. Zachowywał się nonszalancko i gwałtownie. Uśmiechał się, ale oczy pozostawały ponure, skupione. Z nieco złośliwą uwagą śledził sposób, w jaki Onio opróżniał kufel.

– Alembik to nie jest – Onio z trudem zdobył się na żart.

Wyrostek przytknął kufel do ust i duszkiem wlał jego zawartość do przetyku.

– Chodzi o to, żeby w głowie zakotłowało – powiedział.

Onio wkrótce poczuł działanie alkoholu. Nie czuł już znużenia i kłębiący się wokół tłum piwoszków wydawać się zaczął nierealny. Złudne uczucie spokoju i bezpieczeństwa. Siły też przybywało.

Wyrostek obserwował go z ukosa. Znał tu wielu mężczyzn i wymieniał z nimi niedbale pozdrowienia.

– Kiedy wyskoczyłeś? – zapytał jeden z tutejszych bywalców, mężczyzna w wieku Onia o zarośniętej twarzy ze strupami na czole.

– Będzie parę dni – odparł wyrostek.

– Wyskoczyłeś? – powtórzył Onio.

– Z więzienia – wyjaśnił wyrostek.

Rozpiął koszulę na brzuchu. Odślonił ciało. Brzuch kreśliły grube pręgi blizn.

– Na samym początku porznąłem się – powiedział wyrostek i patrzył na swoje blizny z upodobaniem. – Musieli mnie przenieść do szpitala. Jak nie zaczniesz z nimi po swojemu, to oni dopiero zaczynają...

Twarz miał zaciętą i występłą. Świadczyła o życiu, które prowadził. Życiu brutalnym i poza prawem.

– Co teraz robisz? – zapytał Onio.

– Teraz? – zastanowił się wyrostek. Zapiął starannie koszulę na brzuchu. – Szukam.

– Ja też – rzekł Onio.

– Ty? – zdziwił się wyrostek. – Jeszcze szukasz?– Wziął go za krawat. Obejrzał. Pomacał.

– Dobry gatunek – powiedział.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Onio wytrzymał jego spojrzenie.

– Z nudów – powiedział Onio.

Wyrostek z poszatkowanym żyłką ciałem stał się dla niego cofnięciem we własną młodość. Wyobraził sobie siłę, gniew i niecierpliwość tego chłopaka.

– Nie wiadomo co robić – burknął wyrostek i uparcie pochylił głowę. Udręka zabrzmiała w tym skąpym wyznaniu. Onio począł zazdrościć. Zazdrość i smutek. Tęsknić zaczął za czymś skończonym bezpowrotnie.

– Jeszcze im wywinę – powiedział wyrostek. Rozlał resztę wódki do kufli. Nie zwracał już na Onia żadnej uwagi. Zapatrzony w taflę szyby, w której odbijał się zamazany tłum w piwiarni i zarysy domu po przeciwnej stronie ulicy. Krzepki wyrostek o zawziętej twarzy. Onio rozstał się z nim bez pożegnania. Szedł szybkim krokiem. Ciągle jednak myślał o chłopcu z piwiarni. Był dla niego wysłannikiem z dalekiej przeszłości. Przypadek?

Doszedł do mostu. Światła odbite w wodzie. Miasto po drugiej stronie rzeki. Co znajdzie tam? Przeszedł mostem. Późno. Pusta ulica. Stare, czarne mury czynszowych kamienic. Ulica jego młodości. Uciekał z ostatniego wiecu pod akademikiem. Osaczony tłum. Policyjne kordony. Tupot podkutych butów. Zwarte szeregi. Znalazł szczelinę w sieci. Wydostał się z matni. Boczными uliczkami dotarł do rzeki. Przyszedł na drugą stronę. Przystanął pod małym, wątlym drzewkiem. Gdzieś w pobliżu powinno być to drzewko. Siusiac zaczął. Dopadł go policjant. – Pęcherz ciśnie – powiedział wtedy flegmatycznie.

Gdzie jest to nędzne drzewko? Osaczone płytami chodnika, z trudem przebijało się z jałowej ziemi, wypuszczając wątłe pędy. Gdzie ono jest? Tajny epizod jego życiorysu. Był wzbu-

rzony. Powracać zaczęły natarczywe obrazy z przeszłości. Ohydny Marian G. z czyrakowym turbanem na głowie. Jego zapiekła nienawiść. Płomienny działacz głosem czystym, porwykającym elektryzuje studentów w auli. Pochód, okrzyki. Przypadkowy trybun niesiony na rękach. Mysikrólik który nie uwierzył...

Znalazł te miejsce najważniejsze. Tylko inne to było już drzewo. Niczym nie przypominało tamtego wątlego krzaczka. Wysokie, o grubym pniu z rozrośniętymi konarami, listowie szumiało nad nim. Ucieszył się ze swego odkrycia jak archeolog dokopujący się do niezwykle cennego znaleziska. Gładził szorstki pień z gruzłowatymi naroślami. I zaświtała myśl przekorna. Natrętny, uporczywy chochlik. Zafascynowany swym pragnieniem ustawił się w kręgu światła z latarni i czekał. Czuł się jak ten wyrostek z piwiarni, który nawet żartuje ze swoim ciałem ryzykując tak wiele. Charakterystycznym sposobem oparł się ramieniem o pień drzewa i szeroko rozkraczył nogi. Starannie reżyserował realistyczne elementy sytuacji. Nadśluuchiwał. Idą. Dwaj. Nocny patrol. Pusto. Muszą zauważyć. Przyłgnał do drzewa i rozpoczął manipulacje. Wystawił się do nich przodem, wyliczając rozważnie, że zauważą go podczas mijania i zajdą od tyłu. Minęli go obojętnie. Nie zauważyli. Dalej niecierpliwie wyczekiwał. Idzie. Jeden, Rozgląda się. Czujny. Wtedy Onio rozpoczął. Głośną strugą poleciało po pniu. Policjant przystanął. Zbliżył się. Jest już za jego plecami.

– Co wy?

Onio siusiał dalej.

– Nic – odparł – pęcherz ciśnie.

Obejrzał się. Policjant był młody, rosły. Gniewnie zmarszczył brwi.

– Chory pęcherz – Onio spróbował zażartować, jednak głos mu zadrżał i w tej samej chwili narodziła się świadomość żalostnej śmieszności tego pomysłu. Naprężone mięśnie zwiotwiały. Z trudem zmobilizował resztki uciekających sił i z pół obrotu schwycił za klapy policjanta. Nieudolnie to uczynił spocone palce ześliznęły się po suknie munduru. Policjant uchylił się. Onio przymknął oczy i była w nim już tylko bezradność. Poczul żelazny uścisk na przegubach swoich dłoni. Szargnął się. Nie potrafił jednak wyswobodzić się z tego uchwytu. Skulił się. Policjant zmusił go do wyprostowania się bolesnym kopniakiem i powlókł pustą ulicą. Przyparł do niszy w bramie i uruchomiwszy nadajnik przewieszony przez ramię, powtarzać zaczął w mikrofon:

– Tu Gołąb, tu Gołąb. Przyślijcie wóz.

Wkrótce nadjechał radiowóz. Kierowca wychylił się z szoferki i popatrzył na Onia.

– Pijaczek czy złodziejaszek? – zapytał.

– Taki jakiś – powiedział młody policjant. – Chciał mnie zaskoczyć i nadział się na kontrę.

– Z tobą mało kto wygra – przyznał kierowca ze szczerym uznaniem.

Młody policjant wepchnął Onia na tylne siedzenie w samochodzie. Usiadł obok niego. Kierowca grzebać zaczął w raportówce. Coś brzęczało i zgrzytało.

– Trzeba go zaobrączkować? – wyciągnął błyszczące sinawo kajdanki.

– Daj spokój – zbagatelizował młody policjant. – Nie warto. Trącił Onia w ramię.

– Za słaby byłeś dla mnie, kolego – uśmiechnął się. Onio posłusznie pokiwał głową.

– Wiem – wymamrotał i była w nim znużona, jałowa odrętwiałość na wszystko.

Syrena pogotowia rozdarła ciszę jęklwym zawodzeniem. Odruchowo wyjrzeli na ulicę. Taki sygnał przechodzi dreszczem po grzbiecie.

– Kto późno zaczyna ten dłużej wytrzyma – powiedział Onio temu obdartusowi z którym wypił flaszkę w bramie.

Obdartus z uznaniem obserwował jego sprawnie pracującą grdykę.

– Nic cię nie rozbiera – zapytał – ona, kira?

Onio pokręcił przecząco głową i wygłosił sentencję o późnym początku i szansy na długie wytrzymanie. Brama była ciemna, cuchnąca moczem. Stali, oparci o mur, niewidoczni z ulicy i bezpieczni. W podwórzu też pili jacyś. Chrapliwe szepty, śmiech. Jarzyły się ogniki papierosów.

– Spokój, kurwa! – rozległ się głos z piętra.

Obdartus drżącymi palcami wyłuskał ze zmiętej paczki papierosa. Gasła mu zapalka za zapalką. Złorzeczył. Oczy miał zmętniałe i już chciał życie swoje opowiadać.

– Ja też kiedyś byłem panisko... – zawiesił efektownie głos.

Wtedy Onio poszedł sobie. Nie znosił takich gawędziarzy. Nie znosił tych życiorysów, zmarnowanych szans i łez płynących obficie. Chwilami chwycił się na podobnym pragnieniu. Odkręcić kurek i popłynię ten ohydny, brudny strumień bez końca. Traktował tę chęć, jako ostrzegawczy sygnał. Przegryzał w połowie zaczęte zdanie, mobilizował zdrowy rozsądek, mocno już roztopiony alkoholem i milczał zawzięcie. Taką prowadził ze sobą batalię. Wymknął się z bramy jak cień. Gonił go nieskładny, żalony bełkot obdartusa.

– Milicja – postraszył go na odchodnym. W bramie zacichło. Onio ruszył przed siebie. Wódkę przyjmował perypatetycznie. Lepiej się piło. Rozmaitość wrażeń. Smrodliwy, zadytmiony światek bram, sklepików z piwem, barów i melin. Coś z kalejdoskopu jednak. Znał różne przystanie gdzie zbierała się pijąca społeczność. Sam też był znany. Wczoraj babuleńka która handlowała wódką, zmrużyła na jego widok przebiegłe oczy i powiedziała: „Pan profesor nie pierwszy raz u mnie, prawda?”. Zachodził czasem do tej piwiarni gdzie poznał niegdyś wyrostka o posiekanych żyłką dłoniach. Ale nigdy więcej go nie zobaczył. Poznał natomiast wielu innych kompanów do kieliszka. Bawiła ta mnogość spotykanych na szlaku. Zdarzali się oryginałowie. Choćby znawca kultów magicznych Polinezji, autor niewydanej pracy liczącej kilkaset stron maszynopisu, który wyśpiewywał pękniętym falsetem – szkoda nocy, szkoda dnia, noc jest taka krótka, tam gdzie ja tam i wódka...

Godzina była późna. Pusta skapo oświetlona ulica. Nie miał zamiaru wracać do domu. Z niechęcią pomyślał o swojej młodej żonie.

– Znowu pileś – zacznie tyradę. Nie odpowie jej ani słowa. Od razu położy się do łóżka. Męczące dogasanie wódki w organizmie. Papieros za papierosem. Dym nie smakuje. Drażni równy, spokojny oddech obok. Nic go nie ciągnęło do domu. Właściwie był nawet przygotowany, że to małżeństwo tak niedawno zawarte, rozleci się wnet. Żona. Jej jasne czyste oczy. Lubi muzykę. Bitlesów. Jeszcze innych. Onio nie lubi. Patrzy w jej oczy. Czyste, głębokie. Nie czuje w nich oparcia. Owoc innego czasu. Jego doświadczenia to ciemność i maligna dla niej. Jej świat jest prosty, pogodny, dosyć ubogi. Dziwak, być może tak go nazywa poblążliwie. Kochany dziwak. Już może tylko dziwak. Pomyślał o tym chłodno i bez żalu. Chwilami po prostu czuł się jak popsuty mechanizm. Pocieszał się tym, że jest małym, popsutym mechanizmem w wielkim również popsutym mechanizmie. Zateśknił za spokojem i ładem. Mała lampa, stos zeszytów do poprawiania, herbata pod ręką. Żona spogląda na niego czule. Zaraz idylliczny obraz domowego ogniska uległ gwałtownej metamorfozie. Nie ma już spokoju i ładu. Wyczerpany lekcjami, osaczony płatnościami na domowe potrzeby i rozdrażniony niezyczliwym spojrzeniem żony, miota się po mieszkaniu, nie mogąc nigdzie znaleźć bezpiecznego oparcia. Patrzy na porysowane ściany, wysłużone meble. W słońcu widać kurz pokrywający książki, szafę, stół. Liszaj łuszczącego się sufitu. Patrzy na żonę. Jest w szlafroku. Szara, zaniedbana. Młoda, ładna, a nie pociąga go wcale. Słyszy jej płaski głos. Ten głos rozsadza mu uszy. Ucieknie do łóżka. Zakryje się kołdrą po uszy. Zapadnie w płytki, męczący sen. A rano ogląda się w lustrze. Ostрым, przenikliwym spojrzeniem. Tropi zmarszczki, szpetotę opuchniętej twarzy. Widzi szare, zagaste oczy, obwiedzione sinymi podkowami, siwiznę, która prószy włosy coraz gęściej. Dotyka swojego ciała. Wiotczące, pełne fałd i rozluźnionych mięśni. Poranny ogląd kojarzy mu się z rozkładem, butwieniem, śmiercią.

Tak miota się w monotonii kleistych dni bez wydarzeń, uwięziony przez gorzkie przygnębienie i zewnętrzność równie przygnębiające jak świat jego ducha.

– Upadającego ducha – powiedział półgłosem i roześmiał się bezdźwięcznie.

Więc jak powiadał zacny znawca kultów magicznych: – Szkoda nocy, szkoda dnia. Tam gdzie ja tam i wódka.

Kiedy o tym pomyślał, wstąpiła w niego zła, niszczycielska energia. Postawił kołnierz płaszcza i rozglądał się. Stał na rozstajnych drogach. Ta na wprost prowadziła do restauracji wykwintnej, zbudowanej w stylu stalinowskiego monumentalizmu. Było to miejsce kosztowne i nieprzyjemne. Na lewo natomiast znajdował się lokal stary, o tradycyjnej wśród pijących renomie. Najlepszym tam przytuliskiem był bar z lustrem, cały w przyćmionych, ciepłych światłach. Ruszył na lewo energicznym, raźnym krokiem. Nie z próżności jedynie pochwalił się przed obdartusem swoją mocą do wypicia. Naprawdę tęgą odznaczał się głowa. Choć występowaly już pewne symptomy, świadczące o nadchodzących zmianach: pomyślał o tym bez wzruszenia jak pilny badacz analizujący pewien przypadek. Kurczyły się rezerwy. Zdarzało mu się nieraz doświadczać poczucia braku odporności, zgoła lęku. Lęku przed obowiązkami, działaniem. Konieczność załatwienia drobnej choćby sprawy wprowadzała go w niewspółmierny do tego popłoch. To samo dotyczyło podjęcia jakiejś decyzji lub próby dokonania odmiany swojej sytuacji. Wtedy najchętniej uciekał do knajpy i w tym alkoholowym azylu po prostu przeczekiwał. Dopiero alkohol dodawał mu skrzydeł. Przeszkody małały, stawały się śmieszne, błahe, niepoważne. Czuł rozsadzającą go potrzebę czynu. Potem przychodziło wytrzeźwienie i życie wracało znowu do swoich uciążliwych, ponurych wymiarów. Znowu dławilo. Były to jeszcze symptomy nieczęste. Jeszcze pozostało trochę czasu. Należy go spędzić w sposób najprzyjemniejszy. Taki wyciągał wniosek. Ostatnio wódka zdominowała inne przyjemności. Stała się najprzyjemniejsza.

Drzwi knajpy jak wrota na rygiel zawarte. W szybcie zamajaczyła cyniczna twarz portiera. Taksował badawczo. Z tego faceta, który wyprzedził Onia w szturmie do drzwi, żart sobie wyreżyserował. Był to mały człowieczek w kurtce z kapturem, włosy spadały mu zwichrzonymi pasmami na czoło. Zajrzał w okienko, gestykułując błagalnie. Portier roześmiał się.

– 0, małpa! – zawołał. Tak już powtarzał.

Mały człowieczek w kapturze odszedł zrezygnowany.

Onio wykonał manewr pięćdziesięciozłotowym banknotem. Portier uchylił drzwi, pozwalając mu wsunąć się do wnętrza. Po drodze delikatnie przejął banknot. Onio od razu skierował się do baru. Tam zasiadł w kącie, osłonięty gablotą. Ilu podobnych do niego bywało tutaj? Przegranych uciekinierów. Siedzieli w tym widmowym świetle, kontemplowali alkoholowe zacisze, niekiedy odwracali się spoglądając w dół na parkiet gdzie wirował tańczący tłum. Mijały lata. Znikali. Przybywali następni. Nikt nagłego odejścia tamtych nie zauważał, ani nie wspomniano ich wcale. Zmieniała się barowa warta. Onio znał już dosyć dokładnie historię tego miejsca w przyćmionym świetle, wśród rozbłyskujących różnymi kolorami szkieł, przypominającego akwarium, wprowadzony w jego tajniki przez rozmownego barmana w ciemnych okularach, który wyróżniał go bezinteresownie, nie mając przecież z jego obecności tutaj żadnych profitów. Była więc między nimi więź inteligentów i barman powiadał z niefałszowanym szacunkiem. – Witam pana doktora. Tytuł sprawiał Oniowi przyjemność. Przypominał niedawne życie, jego perspektywy i coraz bardziej mitologizowane wartości.

Tej nocy inny był barman, ten drugi o tępej, brutalnej twarzy i grubych jak serdelki paluchach z których ostatni ozdobiony był złotym sygnetem. Z nim Onio nie miał żadnej zażyłości. Zresztą ten barman dobierał sobie pupilów wśród bywalców, obdarzonych przede wszystkim znaczną zawartością portfela. Bywali to ordynarni, hałaśliwi prywaciarze, popisujący się plikami banknotów poupychanych niedbale w kieszeniach. Toteż oschłym tonem zamówił Onio wódkę i pogrążył się w bezmyślnej obserwacji butelek z kolorowymi etykietami na półkach. Wódkę powtórzył trzy razy, pragnąc osiągnąć ceniony najwyżej stan lekkości, pobłaża-



nia i dystansu wobec realnego świata. Z tego przecież powodu rozpoczął alkoholowy termin i do tej pory idąc rankiem do pracy stwierdzał z zadowoleniem, że jeszcze nie dygocze i nie łaknie piwa jak ci co bardziej posunięci w głąb nałogu nieszczęśnicy. Pewien napotkany na szlaku wędrowiec, zwierzał mu się z udręką – Budzę się, właściwie jeszcze w półśnie i już jawi mi się przed zamkniętymi powiekami żółty płyn z białą czapą piany na wierzchu, ta ordynarna wizja w taki wprowadza mnie popłoch, już leżeć nie mogę i muszę udać się na poszukiwanie piwnego źródła.

Roześmiał się Onio. Przypomniawszy sobie zafrasowaną twarz niewolnika porannej, piwnej rozkoszy.

– Słucham? – zapytał barman.

Miał niewielu klientów i nudził się wyraźnie.

– Ja do siebie – odparł wyniośle Onio, tym powiedzeniem znów rezygnując z próby podjęcia zażyłości z chamowatym barmanem.

Więc tymi kilkoma kolejkami wódki wprowadził się w najlepszy stan alkoholowego zamroczenia. Utrzymanie tego stanu bywa zazwyczaj trudne i często jeden jedyny kieliszek wprowadza w następne stadium, cechujące się agresją i zapalczywą wybuchowością, która poprzedza pijacką otepiałość, kiedy już tylko chłepcze się alkohol do utraty przytomności. Takiej dokonał analizy zjawiska i ucieszył się, że jeszcze posiada kontrolę nad sobą. Siedział wsparty łokciami o kontuar. Muzyka z tyłu i śmiech kobiet. Nie oglądał się. Kobiety nie wabiły go. Miał młodą, ładną żonę. Czeka. Ani myślał o powrocie do domu. Odłona spadała za odłoną. Zamierały uroki małżeńskiego życia. Różnica wieku występowała coraz silniej. Akcje Onia zniżkują gwałtownie w małżeńskim związku. Nie dba o dom. Obojętny i nieczuły. Przerzywa żonie wściekłym bulgotem, kiedy o czyichś sukcesach i perspektywach zaczyna opowiadać. Ogarnia go pasja. Nienawidzi tych, którym udaje się wszystko. Nienawidzi też żony, która o tym mówi. Staje się nawet brutalny. Z satysfakcją używa plugawych przekleństw zasłyszanych w piwiarniach i melinach. Aż wreszcie powtarza z naciskiem: – Pamiętaj, wyszłaś za mąż za gimnazjalnego nauczycielka bez widoków. Na nic nie możesz liczyć. Absolutnie! Czy zdajesz sobie z tego sprawę? – Patrzy na nią ciężkimi z gniewu oczyma. Obcy sobie ludzie. Jak szybko to małżeństwo zawarte przez niego w gorączkowym pośpiechu i euforii, traci swą podstawową wartość. Był wtedy zupełnie sam. Szukał oparcia. Entuzjastyczną teorią wyprzedził małżeńską praktykę.

Łapczywym haustem wychylił kolejny kieliszek. Równocześnie rozsądek potępił alkoholową skłonność. Czasem chwycił się na tym, że dwóch zagnieździło się w nim. Jeden śledzi drugiego. Obserwują się nawzajem. Czają się i wyczekują. Który pierwszy zostanie pożarty? Czy może wyroi się w nim jeszcze więcej sprzecznych osobowości. Chaos potracających się istot. Wszędzie tłok. Na zewnątrz. Wewnątrz. Wrażenie tak wyraziste. Widziany jak na ekranie świat własnego wnętrza. Męczyło to. Przerazało. Domagało się odpowiedzi: czyją jest ofiarą, gdzie jest kat? Dopiero alkohol czynił z niego monolit. Dużo alkoholu. Będzie coraz częściej przesiadywać w tym barze z kieliszkiem w dłoni, wsparty o blat i zapatrzony w mętne odbicie swojej twarzy w lustrze. Żółw mu się przypomniawszy. Stary, wysuszony mężczyzna o wytrawionej twarzy, który często tu siadywał. Milczący. Zajmował najchętniej miejsce w tym właśnie zacisznym kącie za gablotą. Zastygły niczym odlew z wulkanicznej lawy, Onio często o nim myślał i zerkał ukradkiem. Raz tylko ten człowiek odpowiedział mu martwym, szklistym spojrzeniem. Ile przegranych, złych doświadczeń kryło się za tą żółwią skorupą? A może zbyt puszczają wodze fantazji. Zapijaczony starzec. Oto banalne rozwiązanie zagadki. Pociągał go jednak poprzedni wariant, pełen subtelnych niedomówień, znamion kłeski, niepokoju, udręki. Tak jak ten inżynier, którego Onio spotyka często na szlaku. Stoi cierpliwie i czeka. Ludzki, wydrażony w środku kształt, już poruszany tylko za pomocą alkoholowego paliwa. Inżynier wybuchnął kiedyś odą wstępu i sprzeciwu przeciw swojej niewoli. – Ty ma-

cioro nienasycona, wszędzie gdzie jestem twoje cycki wyrastają natychmiast i ssać muszę... – zlorzeczył wymyślnie, kunsztownie, żyły spęczniały mu na skroniach i w chwili tego steku przekleństw jego oczy jarzyły się myślą niezależną i dumną. Aż zachłysnął się wielosłowiem gorącym i wypił łączywie kieliszek wódki postawiony przez czułego kompana. Ten kieliszek zakończył bunt jak szydercza pieczęć nieodwołalnego wyroku. Taką zobaczył Onio drogę. Do ostatniego kształtu żółwiej skorupy właśnie.

Ten obdartus w bramie wpierw przyglądał mu się tylko. Długo, sondującym okiem. Uśmiechnął się i wyciągnął brudną łapę.

– My się skądś znamy?

Onio bez zdziwienia uściśnął jego dłoń. Tytu podobnych przesuwano się w ostatnich latach wokół niego. Szczególnie w więzieniu. Pracowali przy wyrobie prefabrykatów. Chodzili do łaźni. Spotykali się w budynku administracji. Czekali na widzenie lub szli wspólnie do kantyny. Tyle tych twarzy, złamane nosy, blizny na czołach, policzkach, rzadkie zęby, bezzębne dziąsła, uśmiechy, głosy, imiona, strzępy zwierzeń, życiorysów, zaklęć i pragnień. A jeszcze wcześniej ci z milicyjnego aresztu i to pytanie: – Za co wpadłeś – którym wita się przybyłych.

Społeczność tej ciemnej, zatłoczonej celi waży i smakuje odpowiedź Onia. Artykuł ten a ten. Chuliganka. I napad mogą ci dowalić. Niedobrze. Masz coś zapalić?

Więc mógł go równie dobrze znać z milicyjnego aresztu lub z więzienia. Tamten zlustrował go od stóp do głowy i stwierdził.

– Powodzi ci się nieźle.

Sam był w podartym waciaku i gumowcach, twarz znaczył mu kilkudniowy zarost i smugi brudu.

Zamówił Onio następny kieliszek. Barman traktował go dzisiaj z wyszukana uprzejmością. Alkohol działał prawidłowo. Już następowała ta skrzydlana lekkość. Wyrastały kolorowe piórkę. Ponure, w stanie trzeźwości dotkliwe jak ból wspomnienia, nabierały barwy i uroku, zyskiwały nową bogatą treść.

– Siedzieliśmy razem – zapytał Onio obdartusa.

Tamten pokiwał głową. Może nawet ukryci za stosami prefabrykatów pili razem denaturat, oczyszczony przez więziennego fryzjera, specjalistę od kombinowanych trunków.

– Zapraw się, uczony – namawiali go towarzysze niedoli, kiedy wzbraniał się ogarnięty smrodliwym fetorem napoju.

– Te, uczony – powtarzali bez złośliwości – spróbuj, dobrze ci zrobi. Były to fundamentalne doświadczenia dla sceptycznego ironisty jakim starał się być dotychczas Onio i znowu wtedy przybliżył mu się tamten bardzo odległy pobyt w piwnicach Urzędu. I tak dwoma więziennymi klamrami spinało się jego życie.

Z ciekawością rozejrzał się po twarzach barowych sąsiadów. Ludzi przybywało. Podniesione, lekko bełkotliwe i nieskładne głosy otaczały go ze wszystkich stron. Dźwięki te były jak wata dla uszu. Wysiadując tu dosyć często, nauczył się zawierać przygodne znajomości, uprzyjemniające samotne picie wódki. I rano bebesząc kieszenie, wśród pomiętych pieniędzy, wygrzebywał te pijackie znaleziska, dowody barowej więzi: karteczki, świstki, bibułki zapisane tańczącym, rozkolebanym maczkiem lub wyolbrzymionymi kulfonami. Z tych telefonów, adresów i nazwisk nigdy nie korzystał. Tylko kolekcjonował i często przeglądając następnego dnia nie mógł w żaden sposób przypomnieć sobie twarzy, gestu, głosu, nic. Więc te ślady były jak hieroglify niemożliwe do odczytania. Tej nocy nie było jednak interesujących twarzy. Dwaj sąsiedzi po lewej stronie spierali się energicznie. Z uporem obstawali przy sprzecznych opiniach.

– Tak było – powtarzał jeden.

– Skąd – upierał się drugi.

Naraz któryś z nich zasyczał przenikliwie: – Cicho!

Spojrzeni w popłochu na Onia. Rozmydlone oczy obszliszgiwały go długo. Odwrócił głowę.

– A coś myślał, przychodzą tacy, wszędzie. – Znowu postyszał szept któregoś z nich.

Ta obsesja podejrzliwości nawet mu bliska. Miał ochotę pogadać z czujnymi. Jednak obwarowali się szczelną nieufnością. Musiał zrezygnować. Z tyłu dobiegł wzmożony gwar. Popatrzył na parkiet. Występowała striptiserka. W fioletowych światłach ukazały się jej piersi. Barowi klienci wpatrzyli się w białe ciało oświetlone kręgiem z reflektora. Piersi kobiety ogromniały w żarłocznych oczach. Striptis osiągnął swoje apogeum i kilku mężczyzn próbowało dostać się na parkiet i zobaczyć nagość z bliska. Wyciągali ręce i zbliżali się jak przyciągani magnesem przez białe, poruszające się w rytmie muzyki ciało kobiety. Wybuchła kłótnia i szarpanina. Perkusista odpierał atakujących. Fioletowe światło zagasło. Kobieta zniknęła w niszy za kotarą. Do baru wkroczyła kolejna grupa mężczyzn. Pierwszy szedł niski, otyły, który stawiał drobne kroki i unosił ostrożnie stopy. Za nim postępowali dwaj wysocy, barczyści. Onio poznał otyłego od razu. Uśmiechnął się radośnie. Tamten zareagował podobnie. Nie widzieli się przeszło dwadzieścia lat. Ich znajomość trwała tak krótko. Rok ledwie. Jednak poznali się. Obaj równocześnie zbliżyli się do siebie i ścisnęli sobie mocno dłonie, poklepując się po plecach. Tamten wcale się nie zmienił. Zapamiętał Onio z dawnych czasów jego oczy jasne o cwaniackim błysku, piegi na twarzy i niesforna, kogutem sterzącą czuprynę nad czołem. Wtedy też był grubawy. I oczy takie same i ten koguci kosmyk nad czołem ten sam.

– Nie zmieniłeś się – powiedział Onio.

Tamten odwzajemnił się identycznym komplementem. Onio uśmiechnął się sceptycznie. Jednak ucieszył się. Radośnie zabrzmiał głos z dalekiej przeszłości. Głos kolegi z maturalnej klasy. Z tych czasów prehistorycznych, kiedy po zdarzeniu w kinie „Tęcza” musiał opuścić gimnazjum i z trudem udało mu się dostać do innej szkoły. Tam nie miał żadnych przyjaźni. Wystrzegał się zwierzeń i wszelkiej zażyłości. Wystrzegał się kolegów. Był czujny i nieufny. Z tym jednak chłopcem nawiązała się autentyczna, na razie milcząca więź sympatii. Od pierwszego spojrzenia przypadli sobie do gustu. Już pierwszego dnia zajęli wspólnie jedną z ostatnich ławek w środkowym rzędzie.

– Chcesz – zapytał tamten.

Onio przytaknął skwapliwie. Tamten był szkolnym aktywistą ZMP. Często przychodził w stroju organizacyjnym, w zielonej koszuli i czerwonym krawacie. Pochodził z robotnicze rodziny o rewolucyjnych tradycjach. Jego ojciec był etatowym działaczem na dzielnicy. Tego wszystkiego dowiedział się Onio zaraz w pierwszych dniach. A jednak polubili się choć tyle ich dzieliło i tak różne mieli doświadczenia. Na dużej pauzie szli razem do kotłowni i tam palili papierosy. W pozornie doświadczony sposób wymieniali uwagi o dziewczynach. Kolega lubił śpiewać i nieraz nucił pieśni w rodzaju: „My ZMP reakcji nie boimy się...”. Onio słuchał z przyjemnością jego czystego dźwięcznego głosu.

Tak minął rok i tamten nigdy nie wspominał o zdarzeniu w kinie „Tęcza”. Matura i koniec. Odtąd nie spotkał go ani razu i teraz nawet jego imienia nie mógł sobie przypomnieć.

– Trzeba to oblać – powiedział tamten.

Barman przychylił się i z szacunkiem spojrzął na niego.

– Co panowie sobie życzą?

– Czyściochę – powiedział tamten. – Tylko czyściochę.

Onio chciał już ten błąd skorygować. Tu przecież nie podawano czystej wódki. Lecz barman skwapliwie skinął głową i gdzieś z sekretnych zakamarków swego sanktuarium wyciągnął butelkę czystej wódki. Fakt ten świadczył o szczególnych względach okazywanych koledze z maturalnej klasy.

– Słyszałem o tobie – powiedział tamten. – Uczony i tak dalej.

– A ty? – zapytał Onio.

– Ja – zdziwił się tamten – bez zmian. W aparacie.  
– W aparacie – powtórzył Onio.  
– No tak. Resort – roześmiał się. – Tak to się dawniej nazywało. Pamiętasz? Resort czyli  
bezpieka – klepnął Onia w plecy.  
Dwaj jego towarzysze stali z tyłu. Baczni. Skupieni.  
– Koledzy – zapytał Onio.  
– Młodszy koledzy – odparł tamten. – Asysta. Mnie też czasem trochę luzu się należy. Popić  
i pobuszować znaczy. A oni pilnują. Uśmiechnął się do nich przyjaźnie.  
Również odpowiedzieli uśmiechem. Barman czekał z butelką w pogotowiu. Wpatrzony  
pilnie w twarz kolegi z maturalnej klasy.  
– Musisz być bardzo ważny – Onio poczuł dziecinną ciekawość. – Asysta – powtórzył,  
patrząc na tych dwóch z tyłu.  
– Wyśluga lat – odpowiedział tamten. – Posunąłem się trochę po szczeblach hierarchii.  
Wiesz jak to wygląda. Tak samo u ciebie. Asystent, docent, adiunkt czy jak go tam, do góry  
człowiek się wspina.  
– Albo w dół leci – zauważył Onio.  
– Różnie bywa – przyznał tamten.  
Znów skinął na barmana.  
– Im też – wskazał tych z tyłu.  
Onio z rosnącą fascynacją obserwował kolegę z maturalnej klasy. Jego spokój, harmonia  
gestów, spojrzeń i słów, przywodziła nieodparcie porównanie z własnym życiem, poszarpa-  
nym nagłymi wstrząsami i ciągle jątrzącymi się ranami. Zazdrościł spokoju i pewności, które  
emanowały z zachowania kolegi.  
– Czy asysta uzbrojona – zapytał niepewnie.  
Tamten pokiwał głową.  
– Mają ze sobą jakieś pukawki. Ja nie lubię tego nosić.  
– A gdzie oni to noszą? – zadał następne pytanie Onio.  
Kolega z maturalnej klasy przywołał starszego z asysty, łysawego, w szarym garniturze,  
wyglądającego na urzędnika średniej rangi.  
– Pokaż temu panu – polecił z dobrodusznym, pobłażliwym uśmiechem.  
Mężczyzna w szarym garniturze rozpiął marynarkę i uchylił nieco lewą jej połą. Onio wy-  
sunął dłoń i dotknął kabury z wystającą rękojeścią pistoletu, umocowanej na skórzanych szel-  
kach. Jego dłoń zanurzającą się pod połą marynarki śledziły pełne ciekawości oczy barmana.  
Barman z trudem oderwał wzrok i zajął się przygotowaniem sałatki z pomarańcz.  
– Dziękuję – szepnął Onio.  
W palcach ciągle jeszcze czuł śliski metal pistoletu. Zawstydział się swojej pożądlivej cie-  
kawości, która przywodziła mu wspomnienie z czasów tuż powojennych, kiedy to wraz z  
chłopakami z łobuzerskiej dzielnicy Piaski, obmacywali drżąc z emocji broń polskich żołnie-  
rzy kwaterujących w budynku szkolnym.  
Patrzył na kolegę z maturalnej klasy. Niesforny, koguci kosmyk nad czołem i ciągle chło-  
piące oczy.  
– Asysta – smakował to słowo. – Gruba ryba z ciebie.  
Alkohol przestał szumieć i rozmazywać kontury. Umysł miał ostry, chłodny i obudziła się  
w nim skłonność do analitycznej wiwisekcji. – Przecież... – formułował swoje pytanie nie-  
zwyczajnie ostrożnie – tyle u was, w tym, powiedzmy, resorcie zmian nastąpiło, kadrowych prze-  
sunięć, nawet pewnego zamieszania...  
Tamten nie pozwolił mu dokończyć. W lot chwycił jego myśl.

– Istotnie – przyznał, a uśmiech miał syty, z powodu ostrych, drobnych zębów może nieco drapieżny. – Ale ja jestem fachowiec, a nie polityk. Różnica zasadnicza, bądź łaskaw zauważyć. Fachowcy nie wypadają z gry, tylko spokojnie sobie awansują.

– Fouché – zawołał Onio – napoleoński tajniak nad tajnikami.

– Może być – przyznał kolega z maturalnej klasy. – W tamtych czasach był jeszcze taki drugi, generał Savary, też przeszedł do Restauracji.

– Ja bym tu wołał raczej porównania z historii sowieckiej policji – rzekł w zamyśleniu Onio.

– Rzecz gustu historycznego – skwitował tamten.

– Bezpieka – powiedział ciągle w tym samym zamyśleniu Onio – czyli pancerna maczuga władzy. Bez niej władza bezbronna jak dziecko.

Kolega z maturalnej klasy popatrzył na niego bez uśmiechu.

– Jak wiesz zapewne, ja już dawno dokonałem wyboru i tego się trzymam konsekwentnie – głos mu stwardniał i chłopięce, figlarne oczy też stwardniały, niebieskie szkło.

Lodem, czymś niebezpiecznym powiało nagie. Onio nie wytrzymał tego spojrzenia. Opuścił głowę.

– Przepraszam – wybąkał – nie chciałem cię urazić.

– Drobiazg – odparł tamten – ja tylko z potrzeby precyzji, żeby nie było niedomówień.

Onio uniósł głowę. Twarz kolegi znów była chłopięco beztroska i życzliwa.

– Takie spotkania jak nasze – powiedział miękkiem głosem – tyle lat wstecz człowieka cofają.

Onio przytaknął skwapliwie. Ciemna klasa, okno wypełnia liściasta bujność topoli, podłoga wysmarowana cuchnącym pyłochłonem. Kłębi się tłum chłopców. Obmacują dziewczyny. One piszczą zalotnie.

– Idzie. – Ten co trzyma straż pod drzwiami obwieszcza o zbliżaniu się profesora.

Pierzchają na swoje miejsca w ławkach. Zastygają.

– Trzmiel – przypomniał Onio – ten belfer od matematyki.

– Taki pokurcz, niby garbus – wtrącił kolega z maturalnej klasy – ale bali go się wszyscy.

– Trzmiel, bo taki kąśliwy – dodał Onio.

– A Chodupska – roześmiał się kolega z maturalnej klasy. – Pamiętasz Chodupską? Siedziała w pierwszej ławce. Wołaliśmy na nią Dupsko.

– Taka taka blondynka, bardzo rozrośnięta – z głębin przeszłości wynurzył się Oniowi dokładny wizerunek koleżanki.

– Piękne lata – westchnął kolega z maturalnej klasy. – Tak się wydawało, że Bóg wie co będzie można zrobić.

Onio rozrzewnił się. Alkohol w mieszance ze wspomnieniami. Zawirował czas. Słodkie obrazy. Siebie dawnego zobaczył. Tamten Onio wydał mu się cudownym dzieckiem, które z latami zmarnowało swoje możliwości, talent, wszystko. Sposepniał. Z gorzką zawiścią spoglądał na kolegę łagodnie i czule uśmiechniętego do przeszłości. Nie mógł już być taki jak dawniej. Nigdy nie będzie. Zacisnął palce na szkle pokrywającym kontuar baru. Dusił idylliczne obrazy baśni o dawnych latach. Szargał i opluwał. Wpychał brutalnie na sam spód pamięci. Uwolnił się. Był już skupiony, zwarty. Narodziła się w nim przebiegła, praktyczna inicjatywa. Westchnął ciężko. Raz, drugi. Teatralnie.

– Mam kłopoty – zaczął z nieźle udanym oporem. W przebiegłości, która nim zawładnęła wykoncypował sobie, że kolega z maturalnej klasy pomóc mu przecież może. Już widział siebie z powrotem w Instytucie. Już składał ponownie papiery i wyjeżdżał. Alkohol przyspieszył tę operację.

– Mam kłopoty – powtórzył – ten mój pamiętny wyjazd do Ameryki... Oczywiście nie-udany, zakończył się pobytem... Wyjazd do Ameryki. Tak nazywał tamten próg, który wywrócił jego dotychczasowe życie. Próbował ironizować starym swoim zwyczajem. Ale dopiero teraz. Wtedy był przerażony. Reakcja lawinowa. Koniec pracy w Instytucie. Wkrótce umarł stary Profesor. Koniec więc wszystkiego. I oto jest belfrem. Podobnie jak ten wygrzebany z przeszłości profesor Trzmiel. Tak samo. Stoi przy tablicy i wypisuje wzory. Z tyłu szepty, gwizdy, śmigają papierowe gołębie. W tamtej klasie sprzed kilkudziesięciu lat zabawiali się tak samo. Odwraca się gwałtownie od tablicy i krzyczy. – Kto to zrobił? Odpowiada mu zdziwione, obłudne milczenie.

Zaświtała nadzieja. Wpatrzył się w szeroką, pokropioną piegami twarz kolegi z maturalnej klasy. Chytrze, pokornie usiłował związać zerwaną nić. Tamten klepnął go rubacznie w plecy.

– Kłopoty – rzekł. – Kto nie ma kłopotów. Nie warto psuć przyjemnej nocy. Pogadamy jeszcze o tym.

Onio patrzył poddańczo w jego oczy.

– Mógłbym twoim dzieciom dawać korepetycje.

Jednak kolega osadził go w tej inicjatywie natychmiast.

– Dziękuję. Na razie dają sobie radę – powiedział i oczy miał pełne wesołości. – Zgrywus z ciebie – dodał.

Wtedy Onio przeszedł do niezgrabnych pochlebstw.

– Musisz być bardzo ważny. Tak cię pilnują. Żywy kruszec – ciągle wpatrywał się w jego oczy, jakby chcąc z całej siły swego pragnienia poruszyć w nim to ludzkie, najcenniejsze co tak kiełkowało wzajemną sympatią w szkolnym czasie.

Kolega pochlebstwo przyjął pobłażliwym uśmiechem i powiedział. – Nie tędy droga do naszej protekcji.

– Więc którądy? – zaszeptał Onio z żarliwą gotowością.

– Ta droga zaczyna się od skruchy, posłuszeństwa i ochoczej gotowości na wszystko – żartował tamten. – Czy nie tak? – Zwrócił się do swoich asystentów.

A oni choć nic z tego dialogu nie usłyszeli, przytaknęli głowami. Kolega z maturalnej klasy pstryknął palcami na barmana i zamówił dla asystentów po wódce.

– Na drugą nogę towarzyszu pułkowniku – ucieszył się starszy, łysawy w garniturze.

– Jednak w knajpie ciężko wytrzymać bez paliwa – dodał drugi, młodszy, elegant długowłosa w błękitnych spodniach i takiej samej marynarce.

Onio szeptem powtórzył sobie rangę kolegi z maturalnej klasy. Asystenci spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

Orkiestra grała szlagier sprzed wielu lat. Tandetny męski baryton zawodził do mikrofonu. Białe ciało striptiserki w fioletowym świetle. Jej kształty rozdymały się do rozmiarów maturalnych. Piersi jak ryje żarłocznych świń kolebały się miękko, zakończone rozległymi sutkami. Mężczyźni wokół parkietu uderzali w dłonie do taktu muzyki. Zamazany tłum. Zamazane obrazy.

– Mięcho – ktoś powiedział i mlasnął wargami.

Starszy z asystentów, zapatrzony w striptiserkę tak powiedział, otworzył jeszcze raz usta i już tylko mlasnął.

– To jest naprawdę życiowa sprawa – Onio nerwowym, drżącym z napięcia głosem ponoził swój wątek. – Mówię ci, przez głupstwo wykołowało mi się całe życie.

Ogarnął go przejmujący smutek. Był pewien, że kolega z maturalnej klasy powinien odczuwać to samo. Wpatrzył się intensywnie w kpiarskie, ciągle chłopiące oczy kolegi, który był dygnitarzem wysokiej rangi. Oczekiwał zrozumienia i pomocy. Poczul jego ciężką dłoń na ramieniu.

– Na smutno upijasz się, staruszk – posłyszał przyjemny, lekko ochrypły głos.

Twarze dokoła rozmazały się zupełnie i tylko ta jedna twarz tuż przy nim jak portret w kosztownych ramach. Rozmowy dokoła wdzierały się do uszu potokiem nieartykułowanego potoku i tylko ten jeden głos słyszał doskonale. Spróbował uśmiechnąć się. Uśmiech wypadł blado, nieudolnie. Poczul się bardzo upokorzony. I z tego naraz uświadomionego sobie poczucia upokorzenia łzy zebrały mu się w oczach. Przygryzł wargi. Z całej siły woli wstrzymać zaczął tę haniebną mokrość w kącikach oczu. I ciągle widział twarz kolegi z maturalnej klasy, ciepło uśmiechniętą, serdeczną, rozbawioną. Równocześnie też głos jego posłyszał – co, słabo ci? Wódka niedobrze poszła?

Więc z trudem, jakby podnosząc ogromny ciężar uniósł głowę i wyprostował się pewniejszym już, osuszonym wzrokiem popatrzył na czarny blat baru. Dostrzegł przed sobą do połowy napełniony kieliszek. Wypił. Jeden z asystentów spojrział na zegarek. Zaszeptał coś do ucha koledze z maturalnej klasy. Tamten pokiwał głową. Wyciągnął portfel.

– Ja cię prosiłem – sprzeciwił się Onio.

Tamten odsunął go lekko.

– Raczej ja – włożył okulary i sprawdził rachunek. W okularach wyglądał zupełnie inaczej. Surowo, obco.

– Potrzebujesz pomocy – zapytał nagle – sam nie dasz sobie rady?

– Nie – potwierdził szybko Onio i na powrót znalazł się w zaklętym kręgu nadziei. Tamten powiódł roztargnionym spojrzeniem po półmiskach w gablocie. Onio czekał i serce biło mu jak przed pierwszym egzaminem.

– Muszę się zmywać – odezwał się tamten i wyciągnął rękę. Palce miał rozpląszczone na końcach z krótko przyciętymi paznokciami.

– Ja też – rzekł Onio.

Opuszczali lokal w następującym szyku: Onio z kolegą, za nimi asystenci.

Barman przechylił się nad kontuarem i odprowadził ich skupionym wzrokiem. Stary kelner szepnął coś do drugiego starego kelnera. Portier poderwał się żwawo ze swojego kąta i kłaniając się otworzył ciężkie jak wrota drzwi. Pieniądzy za fatygę nie chciał przyjąć.

– Gdzieżbym mógł – krygował się – od takiego gościa.

Na ulicy przystąpił Onio do ostatniego szturmu. Uparcie chciał zdobyć tę twierdzę.

– No to daj mi swój telefon – rzucił od niechcienia. – Musimy się jeszcze zobaczyć – wyciągnął notes. Czekał z ołówkiem w pogotowiu.

– Po co ci mój telefon – zaśmiał się wesoło kolega. – Ja sam do ciebie zadzwonię, niedługo, zobaczysz.

Asystenci stojący o pół kroku w tyle, zachrzakali dyskretnie. Wydało się Oniowi, że wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– U nas centrala, wewnętrzne numery – dodał kolega z maturalnej klasy – dużo komplikacji, rozumiesz.

Zabrzmiało to niby zwyczajnie, ale dla Onia było jak smagnięcie biczem. Zgarbił się i po raz pierwszy chłodnym okiem na twarz kolegi z dawnych lat popatrzył. Obca twarz. Obcy głos. Zacisnął szczęki. Nie chciał już prosić o nic.

– Słusznie – wycedził. – Po co mi twój telefon.

Patrzył w oczy kolegi. Tamten zmieszał się nieco.

– To możesz swój numer mi dać i wyciągnął notes.

– Po co – powiedział Onio.

Stali obok samochodu. Wołga. Jeden z asystentów już siedział za kierownicą. Onio kopnął oponę. Noga odskoczyła jak piłka. Odszedł bez pożegnania. Szedł pustą ulicą. Światło. Świt brudny deszczowy. Paliły się jeszcze latarnie. Brudne wszystko, zamazane i nierealne. A mo-

że to zdarzenie też ze sfery nierealnej? Majaki pijanej wyobraźni. Ani śladu kolegi dygnitarza. Nie było go wcale. Imaginacja spowita w deszczową szarość ustępującej nocy. Otrząsnął się i wyprostował. W trzeźwiejącym umyśle narodziło się pragnienie zmiany, odnowy. Niespodziewane zasoby energii domagały się czynu. Gorąco tego zapragnął. I pomyślał tklawie o swojej młodej, ładnej żonie. Jej ciało bujne, podniecające. Mieć syna. Pełen skruchy i nadziei wracał do domu. Czy był to podszept Boga czy Szatana? To pytanie wyskoczyło z nienacka spod szlachetnej powierzchni jego pragnień i aż się zatrzymał.

Stapał po klepkach, omijając starannie strefę przykrytą dywanem. Klepki również obnażyły się, pełne śladów po mokrych i zabłoconych butach, niewidocznych dotychczas. W blasku słońca, które wypełniło cały pokój, tak samo inne, mało znane zazwyczaj szczegóły, stały się wyraziste i przykre. Omijał wzrokiem ściany, poznaczone brudnymi smugami po palcach, rysami i łuszczącą się farbą. W pewnym miejscu poniżej kinkietu wypełzła plama po jakimś napoju, kształtu tak odpychającego, że odwrócił się gwałtownie, zaskoczony tym odkryciem.

Nie mógł znaleźć spokojnego oparcia dla oczu. Sufit. Był popękany i wisiał tak nad głową, popstrzony czarnymi cętkami zaschniętych much z ubiegłego roku. Popękanie na suficie przebiegało zygzakiem i ziało jak rana nagle otwarta. Wzrokiem omiatał coraz to inne obszary tego wnętrza. Zapyłona drobnymi kłaczkami narzuta na tapczanie. Białe kłaczkami przeniknęły rdzawy materiał i roily się gęsto na całej jego powierzchni. Faktura obrazu, który wisiał nad tapczanem, gruzelkowata, nachalna w kolorach. Brzydka i drażniąca. W pewnej chwili kolory obrazu opuszczone przez światło (a może on sam odsunął się nieco) zszarzały i pozostała jedynie ta gruzelkowatość, przywodząca na myśl złośliwą, nieuleczalną chorobę. Książki na półkach, postrzępione, powyginane, wręcz nie do zniesienia w swojej zużytej szpetocie. Kiedy przyspieszał kroku, dokuczliwa ostrość otaczających przedmiotów zacierała się i było trochę lepiej. Ale musiał zwalniać. Niewielka przestrzeń pokoju nie dawała swobody krokom. Wtedy wzrok tańczył coraz szybciej i wspomagany przez przenikliwe światło popołudnia nie mógł nigdzie znaleźć bezpiecznego oparcia. Ponadto powieki, ilekroć próbował je przymknąć i poruszał się po omacku, odchyłały się natychmiast i objawiały się kolejne warstwy brudu, rozkładu, obcości. Wzmagająca się wibracja. Bo cała przestrzeń pokoju i on sam w niej, wibrowały jako jedność i nie mógł ani na sekundę odnaleźć się w tym zagubieniu. Cała ta przestrzeń bowiem od podłogi do sufitu, ta niewielka przestrzeń otoczona czterema ścianami, kłębiła się obfitością drobnych, bardzo drobnych pyłków. Pyłki wirowały niezamordowanie, ogarniając go ze wszystkich stron i stawały się niewidoczne, kiedy w swym spacerze bez wyjścia mijał świetlne smugi. Wtedy z wielokrotnością się jego własna wibracja. Spróbował zatrzymać się przy oknie i popatrzeć na uliczny świat. W dole z ruchliwą mrówczą energią poruszały się ludzkie sylwetki. Pędziły we wszystkie strony, potracając się i mijając. Sprawiały wrażenie wprawionych w tę bieganinę przez jakąś nadrzędną siłę, kierującą nimi z ukrycia. A myśl o wyjściu, która narodziła się na chwilę, zamarała od razu, sparaliżowana wyobrażeniem poruszania się tam na ulicach i placach, pośród ludzi i pojazdów, w tej przestrzeni również bez wyjścia, wypełnionej jaskrawym, bezlitosnym światłem popołudnia. Ponadto nie czuł związku z nikim tam na dole i nie mógł też wybrać sobie celu dokąd mógłby się udać. Odwrócił głowę i powrócił do swego spaceru, rozdrażniony nieustającym hukem dochodzącym z ulicy. Hukiem nasilającym się do łoskotu, kiedy na pobliskim skrzyżowaniu hamowały tramwaje i autobusy, to znów przeradzającym się w stałe, głucho dudnienie. Wciąż jeszcze bardziej rozdrażniony przez agresję, która wdzierwała się stamtąd, zamknął okno i zaciągnął kotarę.

W pokoju uczyniło się ciemno i gorąco. Wirujący świat drobin skurczył się w mroku. Ściany i przedmioty przycisnęły się. Pamięć jednak zachowała obraz łuszczących się miejsc, strupów na suficie i pokracznych plam. W swoim uporczywym spacerze już nie omijał dywanu. Jego stopy w drewniakach klekotały donośnie, aby po chwili zanurzyć się miękko w gru-



bej materii. Aż wreszcie położył się na tapczanie. Przymknął oczy. Schował się w siebie. I zaczął się najgorszy atak. Atak rozedrganego wnętrza. Wibracja jego komórek, nieskończoności tych komórek, z których był złożony. Natarczywe strzępy obrazów przypomnień i nieoczekiwanych skojarzeń zaczęły wirować w jego udreżonej głowie. Fotografia, którą niegdyś jego dziewczyna trzymała w torebce. Jego fotografia. Młodzieńca ze sterczącą, rozwichrzoną czupryną jak płomienny apostoł wielkiej sprawy wyglądał. Naraz ta twarz zaczynała rozlazić się; puchła, rozdymała się i rozpadała. Już ani śladu młodzieńca sprzed tylu lat. Pejzaż dzieciństwa. Gmatwanina uliczek, znajomych, bliskich, a jednocześnie przeraźliwie obcych, cmentarnych. I on w tym labiryncie kluczy krętymi drogami, miota się; nie może odnaleźć wyjścia. Buda fryzjera Zygmunta, nie wiadomo dlaczego usytuowana na wysokim wzgórzu, widoczna na całą okolicę. Rzędem na półce Przybyszewski, wyrazista oprawa, brązowa, półskórek, tłoczone, złote litery tytułów. Przybyszewski – święty prorok fryzjera Zygmunta. Wszystkie te obrazy przybliżyły się i oddalały, żaden nie chciał się na dłużej zatrzymać. A w drugim planie lament rodziców, patrzą na niego i płaczą, niewidoczne ich twarze, tylko sylwetki i żałośliwe głosy rozsadzające mu czaszkę. Zamierzchłe, poszarpane obrazy nie pozwalały znaleźć jakiegokolwiek oparcia. A ta szara kleista substancja, którą był wypełniony, zaczęła go zatapiać i dławić. Wtedy zaczął wykonywać nieskoordynowane ruchy rąk i nóg. Była to bezskuteczna próba obrony. Instynktowna, ślepa walka z niewidzialnym przeciwnikiem. Czuł też jak pęcznieją mu żyłki na skroniach, przepelnione porywistym, dzikim szumem. Miał nadzieję, że pękną wreszcie i uwolni się od tego rozsadzającego ciężaru. Nie pękały jednak. Leżał przygwożdżony torturą pięknego popołudnia, zwanego sjestą, niezdolny do jakiegokolwiek odmiany swojej sytuacji.

I to bzykanie jedynej muchy, która unosiła się pod sufitem, było jak muzyka nad żywym trupem.